Nr. 95. Poznań, niedziela 5 września 1897. Rok II.

PRACA

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów

Przedpłata **na pocztach tylko 1 markę** kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

Redakcya i Administracya przy ul. Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Uczmy dzieci po polsku!

Na Wrzesień

kosztuje „PRACA“ na wszystkich urzędach pocztowych

tylko 34 fen.

„PRACĘ“

która zapisaną jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86) *najwygodniej zamówić na poczcie.*

Życzliwych nam Czytelników upraszamy o łaskawe poparcie naszego pisma w gronie krewnych, przyjaciół i znajomych, zachęcając ich do licznej przedpłaty w interesie wspólnej sprawy. —

Każdy, kto tylko zażąda, otrzyma bezpłatnie i franko kilka numerów „Pracy“ na okaz, lub też celem rozdania takowych pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

POD TWOJĄ OBRONĘ!

(Na uroczystość Narodzenia N. P. Maryi.)

Pod Twoją obronę — my się uciekamy,
I Twojej hłości ze łzami błagamy...
O! ucieczko grzesznych — pociecho strapionych...
O! gwiazdo przewodnia w pośród dróg zmylonych
Usłysz nasze modły o Królowo nieba,
Wśród burz Twej obrony nam zawsze potrzeba.

Pod Twoją obronę — tulim się z ufnością
Przyjm Matko swe dzieci zbolałe z miłością...
Uzdrowienie chorych — ulecz nasze blizny
Uproś świt jaśniejszy dla naszej Ojczyzny...
Strzeż nas od niewiary o Królowo nieba,
Wśród burz Twej obrony nam zawsze potrzeba.

Pod Twoją obronę... spieszymy w pokorze,
Serce Twe dobroci niezmierzone morze,
Więc choć upadamy i nieraz błądzimy,
Do Ciebie z ufnością modły zanosimy...
O! módl się za nami!... Matko Boża z nieba,
Wśród burz Twej obrony nam zawsze potrzeba.

Pod Twoją obronę... ziemia Polska cała...
O Święta dziewico — dawno się oddała —
Krwią i łzami zlana — przez wrogów gnębiona,
W świętej wierze ojców była niewzruszona...
By wytrwała dalej — O! Królowo nieba,
Wśród burz Twej obrony nam zawsze potrzeba.

„Nasza organizacya przemysłowo-rzemieślnicza“.

Niezadługo już zaprowadzoną będzie z ramienia rządu organizacya rzemiosła — i to przymusowa. Gdyby stosunki w naszym zaborze były dla nas korzystniejsze, nie mielibyśmy racyi myśleć o własnych prywatnych instytucyach tego rodzaju i tylko moglibyśmy przyklasnąć zamiarom rządu.

Dziś atoli, kiedy państwo spokojnie na to patrzy, jak pewnego gatunku ludzie pod płaszczykiem obrony niemczyzny kopią bezdenną przepaść między dwiema narodowościami, mieszkającemi w tym samym kraju, dzisiaj, wobec takich stosunków, nie możemy się po owej organizacyi cechowej niczego dobrego spodziewać. Przyznajemy, że w dzielnicach, gdzie hakatyzm dla braku polskich jego ofiar nie ma racyi bytu, urządzenie to może dla rzemiosła mieć błogie skutki. Ale tu u nas stworzą przymusowe cechy pożądaną dla hakatystów arenę do popisów w prześladowaniu i gnębieniu polskości. A więc niepłonnemi są nasze obawy o polskie rzemiosło, i ztąd tem więcej trzeba nam dziś wytężać wszystkie siły, aby stworzyć własną organizacyę rzemiosła naszego, któraby je na drodze prawnej broniła od utracenia samodzielności, a zarazem przyczyniła się do jego rozwoju.

„Kwestya organizacyi rzemiosła polskiego, to kwestya bytu naszego średniego stanu“.

W naszych mianowicie stosunkach — wszelka organizacya, czy to społeczno-ekonomiczna, czy też polityczna, byle oparta była na podstawie prawnej i legalnej, wielkie nam może oddać usługi. Gdzie trzeba nam się skupiać i w zwartych iść szeregach wedle dobrze obmyślonego planu, tam chodzenie samopas jedynie zgubę zgotować nam może.

Lecz od projektów do czynu jeszcze bardzo daleko.

Rozmawiajmy tylko przez chwilę z zdolniejszymi i wybitniejszymi przedstawicielami naszego przemysłu i handlu, a usłyszymy całą litanię narzekań i skarg na obecny ustrój towarzystw i na stosunki nasze przemysłowo-handlowe wogóle. Każdy z tych panów przyznaje najzupełniejszą słuszność odnośnym projektom, z drobną może rzeczową modyfikacyą, ale żaden nie ma odwagi wystąpić publicznie z przekonaniem swojem.

Na szczęście — stosunki te tak smutne, uległy pewnej zmianie na lepsze.

Sprawa organizacyi rzemiosła zainteresowała w niezwykły sposób nasze społeczeństwo i wywołała w prasie naszej — mianowicie ludowej — nadzwyczajnie ożywioną dyskusyę. Stwierdzamy z prawdziwem zadowoleniem, że dyskusya tym razem, z wcale nie licznemi wyjątkami, nie zeszła na zwykłe tory osobiste i nie zamieniła się w zaciętą polemikę pomiędzy poszczególnemi pismami, lecz jest, czem być powinna—uczciwą wymianą myśli, skierowaną na dobro ogółu.

W poczuciu doniosłości, jaką ma organizacya rzemiosła, już zaczął się w naszem społeczeństwie ruch poważny, w tym kierunku zwrócony.

Celem organizacyi naszych Towarzystw musi być przedewszystkiem *powszechna łączność* naszych rzemieślników i skupienie ich w towarzystwa.

Skoro Towarzystwa nasze skupią w sobie całą ludność rzemieślniczą, będą one mogły przystąpić do *zawodowej pracy*, dzieląc się na poszczególne sekcye zawodowe, jakie już widzimy po części w Poznaniu. Dziś,

kiedy do Towarzystw należy po trzech, czterech reprezentantów rozmaitych zawodów, praca taka jest niemożliwą, bo co interesuje jednego, drugim jest obojętne, a skutkiem tego możliwe są tylko obrady i dyskusye nad sprawami ogólnemi, a większość czasu marnuje się na bezowocnych sprzeczkach, formalnościach i zabawie. Poszczególne sekcye natomiast, reprezentujące odnośne zawody, mogłyby się zajmować sprawami czysto zawodowemi, pouczać swoich członków i dawać im praktyczne wskazówki postępowania.

Praktycznym wynikiem pracy w sekcyach byłoby *wynajdywanie najlepszych źródeł towarów* surowych i o ile to możliwe, *wspólne zakupywanie* tychże. Rzemieślnicy nasi, zespoleni silnie w odnośnych sekcyach, mogliby niezawodnie wynajdywać sobie, tak za pomocą pism zawodowych, jakoteż przez wzajemne powiadamianie się, najlepsze *źródło potrzebnych im do wyrobu towarów*. Przy stosownem porozumieniu się, mogliby także, przynajmniej częścią i choćby tylko pewne towary, od czasu do czasu wspólnie zakupywać, z niemałą oczywiście dla siebie korzyścią. Co się zaś tyczy szczegółów, w jaki sposób i o ile dałoby się to uskuteczniać, obmyślanem to być powinno w samych sekcyach.

Warunkiem ku osiągnięciu tych celów jest *znajomość książkowości* bardzo potrzebna każdemu naszemu rzemieślnikowi już ze względu na korzyści materyalne w jego zawodzie. I tę więc stronę nader ważną w zawodach praktycznych uwzględnić by musiały nasze zorganizowane Towarzystwa.

Poszczególne sekcye szewskie, krawieckie i t. d. mogłyby nawiązać ze sobą stosunki i w ten sposób stworzyć z czasem *centralny związek* szewców, krawców itd.

Taki związek, nie ułożony z góry na to, aby przewodzić i rządzić, lecz oparty na kilkudziesięciu drobnych kółkach zawodowych, pewnoby się nie rozpadł, bo byłby tylko organem wydziałów i pośrednikiem pomiędzy niemi, stojąc zaś na czele tylu a tylu kółek lokalnych i widząc skutkiem tego wiele, mógłby dawać im cenne wskazówki, zaczerpane z swego doświadczenia. Czyby zaś, poszczególne związki lub towarzystwa centralne połączyły się ze sobą do wspólnego działania, toby zależało od stosunków ogólno-przemysłowych. Zresztą sprawa jużby się posunęła naprzód, gdyby tylko koła interesowane i nasi rzemieślnicy sami zastanowili się nad swojem położeniem i zebrali się energicznie do naprawy swojej organizacyi. Skoro zaś sprawa cała wyjdzie poza ramy dyskusyi dziennikarskiej, skoro ruch udzieli się szerokim kołom przemysłowym: wtenczas i pomiędzy rzemieślnikami i pomiędzy inteligencyą sami znajdą się ludzie stosowni do systematycznego przeprowadzenia dzieła. Ale trzeba, żeby koła rękodzielnicze nie przysłuchiwały się z założonemi rękami dyskusyi, lecz znalazły w niej bodziec do pracy. Bez ich udziału nic zrobić nie można. Nasze Towarzystwa przemysłowe mają tu wdzięczne pole działania. Organizacya taka nie może być zbudowaną na nowym zupełnie fundamencie, być nowotworem od początku do końca, lecz musi, aby nie rozlecieć się za lada sposobnością, oprzeć się na tem cośmy w ostatnich lat dziesiątkach już zbudowali — *na obecnych związkach i stowarzyszeniach.*

W tym kierunku mamy już pewne doświadczenie. Tak np. dwa poznańskie Towarzystwa (Młodych przemysłowców i Robotników polskich) mogłyby posłużyć jako przykład.

Znajdują się w nich wydziały: stolarskie, ślusarskie, szewski, krawiecki itp. W wydziałach wygłaszane bywają popularne wykłady fachowe, wydziały odbywają regularnie swe posiedzenia i niewątpliwie kształcą swych członków. Mają swą bibliotekę, udzielają w razie potrzeby stypendya członkom na dalsze techniczne, fachowe kształcenie. A prócz tego w obu Towarzystwach odbywają się co dwa tygodnie posiedzenia plenarne. Wygłaszane tam bywają poważne wykłady z rozmaitej dziedziny. Widać w tych Towarzystwach ruch i życie i to na mocy swej własnej pracy, boć do Związku nie należą. Niechby inne Towarzystwa nasze wzięły sobie za

---

(Przedruk bez podania źródła wzbroniony.)

Humor i dowcipy Imci pana Zagłoby.

(Wypiski z trylogii Sienkiewicza.)

Dla „Pracy“ przez Izę T.

(Ciąg dalszy.)

...Pan Zagłoba wychylił kwartę miodu i rzekł:

— Moi mości panowie! gdybym zaczął wszystko szczegółowie opowiadać, tedy i dziesięciu nocy — by nie starczyło, a pewnie i miodu, bo stare gardło, jak stary wóz, smarować trzeba. Dość, gdy waćpaństwu powiem, iżem do obozu samego Chmielnickiego z kniaziówną poszedł i z tego piekła bezpieczniem ją wyprowadził.

— Jezus Marya! toś chyba waćpan czarował! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Co prawda, to czarowałem — odpowiedział pan Zagłoba — bom się też tego piekielnego kunsztu, jeszcze za młodych lat, od jednej czarownicy w Azyi wyuczył, która zakochawszy się we mnie, wszystkie arcana czarnoksięzkiej sztuki mi dywulgowała. Ale wiele czarować nie mogłem, bo sztuka na sztukę. Pełno tam wróżków i czarownic koło Chmielnickiego, ci tyle mu djabłów do usług posprowadzali, iż on nimi jak chłopami robi. Spać idzie, to mu djabeł musi buty ściągać, szaty mu się zakurzą, to go djabli ognami trzepią, a on jeszcze gdy pijany, tego lub owego w pysk, że to powiada — źle służysz! — Byliby też mnie czarni zdradzili przed Chmielnickim, kto jestem i kogo prowadzę, alem ich pewnym sposobem zaklął, że milczeli. Bałem się też, żeby mnie Chmielnicki nie poznał, bom się z nim w Czehrynie, rok temu, ze dwa razy u Dopuła zetknął; było też i kilku innych znajomych pułkowników, ale cóż? Brzuch mnie spadł, broda wyrosła do pasa, włosy do ramion, przebranie resztę zmieniło — więc nikt nie poznał.

— Toś waćpan widział samego Chmielnickiego?

— Czym widział Chmielnickiego? Tak, jako waszmościów widzę. Przecie on mnie jako szpiega na Podole wysłał, żebym jego manifesty chłopstwu po drodze rozdawał. Piernacz mnie dał dla bezpieczeństwa od Ordy, tak że już z pod Korsunia jechałem wszędy bezpiecznie. Jak mnie chłopi, albo niżowi spotkali, tak ja im piernacz pod nos i mówię: „powąchajcie to ditki i idźcie do djabła!“ Kazałem też sobie dawać wszędy jeść i pić suto, a oni dawali — i podwody także, czemum był rad i już ciągle na swoją niebogę kniaziównę patrzyłem, aby po tak wielkich fatygach i strachu wypoczęła. Mówię tedy waćpaństwu, że nimem dojechał do Baru, to już się tak ożywiła, że mało sobie ludziska tam w Barze oczu za nią nie powypatrywali. Jest tam wiele gładkich panien, ale tak im właśnie do niej, jak sowom do kraski

— Ale czemużeś waszmość aż do Baru wędrował? — pytał pan Migurski.

— Bom sobie powiedział, że nie stanę, póki do bezpiecznego miejsca nie przybędę — więc też i małym zameczkom nie ufałem, myśląc, że przecie bunt może do nich dojść. A do Baru, choćby i doszedł, toby sobie zęby na nim połamał. Tam pan Andrzej Potocki potężnie mury obsadził i tyle dba o Chmiela, ile ja o próżną szklankę. Co waszmościowie myślicie, żem źle uczynił, tak daleko od ognia odjeżdżając!. A toż mnie pewnie ów Bohun gonił, a gdyby był dogonił, tedy mówię waszmościom, marcypan by ze mnie dla psów zrobił. Wy jego nie znacie, ale ja go znam. Niech go tam djabli porwą. Póty nie będę miał spokoju, póki jego nie powieszą. Dajże mu Boże tak szczęśliwy koniec — amen! Pewnie też nikogo sobie tak nie zakarbował, jako mnie. Brr! gdy o tem pomyślę, aż mnie się zimno robi. Dlatego to i napitków chętniej teraz zażywam, chociaż z natury pić nie lubię.

— Co waćpan mówisz, — ozwał się pan Podbipięta, — toż pijesz brateńku, jak żóraw studzienny.

— Nie zaglądaj waćpan do studni, bo mądrego na dnie nie zobaczysz. Ale mniejsza z tem. Jadąc tedy z piernaczem i manifestami Chmielnickiego, wielkich przeszkód nie doznałem. Przybywszy do Winnicy, zastałem tam chorągiew obe

wzór wymienione dwa poznańskie, a nie wątpimy, że przy dobrych chęciach mogłyby także wykazać się lepszemi owocami swej pracy, a w ten sposób położyć podwaliny przyszłej obszernej i potężnej organizacyi.

Komisye jeneralne a Polacy.

Obok komisyi kolonizacyjnej istnieje druga jeszcze instytucya państwowa, zajmująca się parcelacyą i połączoną z nią kolonizacyą wewnętrzną, t. j. komisye jeneralne, urządzające t. zw. rentowe włości czy osady.

Działalność tej instytucyi jest daleko obszerniejsza, niż komisyi kolonizacyjnej dla W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich, obejmuje bowiem całą monarchię pruską. I tak komisye jeneralne, opierające się na ustawie z dnia 7 lipca roku 1891 istnieją: w Bydgoszczy, Królewcu, Wrocławiu, Kassel, Dysseldorfie, Frankfurcie nad Odrą, Hanowerze, Merseburgu i Monasterze, a działalność ich rozciąga się na następujące prowincye: W. Ks. Poznańskie, Prusy Zachodnie i Wschodnie, Pomorze, Brandenburgię, Szlązk, Saksonię, Szlezwig i Holsztyn, Hanower, Hesyę i Nasawię, Westfalię, Nadrenię i księztwo Hohenzollern. Punkt ciężkości jednak operacyi komisyi jeneralnych spoczywa w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Podług ogłoszonego świeżo w „Reichsanzeiger'ze" sprawozdania pruskiego ministeryum rolnictwa, w okresie od r. 1891 do końca r. 1896 zamieniono na osady rentowe w Prusach ogółem 700 majątków ziemskich, obejmujących 168,799 hektarów obszaru. Sprawozdanie nie wykazuje, co prawda, ile z tego obszaru przypada na dwie prowincye, zamieszkane przez ludność polską; w przybliżeniu jednak obszar ten obliczyć się daje z narodowości osadników rentowych. W r. 1896 utworzono 867 nowych osad, a nadto zakupiono 300 osad od sąsiadów. Z tych 1,167 osad jest: w ręku ewangelików 589, w ręku katolików 577, nadto jedną osadę nabył menonita. Co się tyczy narodowości osadników, to w r. 1896 osiedlono 750 Niemców, 345 Polaków, 53 Mazurów, 17 Czechów, 1 Szwajcara i 1 Amerykanina.

Ogólny rezultat działalności komisyi jeneralnych od r. 1891 do 1896 przedstawia się, jak następuje: Nowych osad utworzono 4,533, nadto zakupiono od sąsiadów 1,836 osad; z tych jest w ręku ewangelików 3,417, w ręku katolików 2,759, w ręku żydów 6 i w ręku menonitów 6. Podług narodowości osadnicy dzielą się na: 3,983 Niemców, 1,975 Polaków, 66 Litwinów, 142 Mazurów, 17 Czechów, 2 Austryaków, 2 Szwajcarów i 1 Amerykanina.

W przeciwieństwie do komisyi kolonizacyjnej, mającej przedewszystkiem cel polityczny na oku i wyłączającej zasadniczo żywioł polski ze swych dobrodziejstw, komisye jeneralne kierowały się do niedawna wyłącznie społeczno-ekonomicznemi względami i nie zwracały uwagi na narodowość osadników. Dopiero w ostatnich czasach agitacya hakatystyczna i na to pole wniosła zarzewie szowinizmu pruskiego i wydane zostało tajne rozporządzenie, ograniczające procent osadników polskich, mogących korzystać z renty. Rozporządzenie to jest następstwem systematycznej naganki, jaką przed dwoma laty urządziła tutejsza prasa hakatystyczna, popierana przez dzienniki szowinistyczne w całych Niemczech przeciw prezesowi bydgoskiej komisyi jeneralnej, zarzucając mu, zresztą zupełnie niesłusznie, jakoby, osiedlając we włościach rentowych przeważnie Polaków, krzyżował działalność komisyi kolonizacyjnej. Napastowany przez hakatystów prezes komisyi jeneralnej daremnie zasłaniał się ustawą, zabraniającą mu mieszania polityki do spraw ekonomiczno-społecznych; „patryotyzm" wziął górę i dzisiaj obywatel—Polak, właściciel większych włości, już niemoże liczyć na potwierdzenie parcelacyi swego majątku ze strony komisyi jeneralnej, jeżeli nabywcy odnośnych parceli są Polakami, co potwierdza fakt następujący:

P. Chłapowski z Przylepek w powiecie Śremskim zrobił przed mniej więcej rokiem wniosek do komisyi jeneralnej w Bydgoszczy o rozparcelowanie Przylepek. Komisya jeneralna zaakceptowała proponowaną parcelacyą, a p. Chłapowski postarawszy się o parcelantów Polaków, — którzy się na zakupionych parcelach już pobudowali — otrzymuje naraz zawiadomienie, iż wskutek tego, że wobec przepisu pewien procent niemieckich osadników musi koniecznie być uwzględniony, czego przecież nie uczyniono przy parcelacyi Przylepek, — komisya jeneralna niezatwierdza parcelantów Polaków. Wszelkie możliwe starania i zabiegi, a zwłaszcza opieranie się na pierwsze zatwierdzenie, wskutek którego osadnicy się już pobudowali i t. d., wreszcie odwołanie się na to, że cofnięcie już raz zatwierdzonego rozporządzenia właściciela może doprowadzić po prostu do ruiny, nic nie pomogło.

Osadnicy bowiem, — którzy od roku już zakupione i zapłacone parcele uprawiają — dobrowolnie nie ustąpią, chyba za grubem odszkodowaniem, które bezwarunkowo przenosiłoby realną wartość majątku. Cóż więc było robić? Aby uniknąć długoletnich procesów, a może stracenia całego mienia, właścicielowi nie pozostało nic więcej, jak sprzedać majątek Niemcowi, wskutek czego unormował się potrzebny procent Niemców, — celem umożliwienia zatwierdzenia — parcelacyi.

---

cnego tu w obozie pana Aksaka, alem się przecie dziadowskiej skóry jeszcze nie pozbywał, bom się chłopstwa bał. Jenom się manifestów zbył. Jest tam rymarz, któren się zowie Suhak i dla zaporozców szpiegował, a wiadomości Chmielnickiemu posyłał. Przez tego manifesty odesłałem, wypisawszy na nich także sentencye, że chyba go Chmiel każe ze skóry obedrzeć, gdy je przeczyta. Ale tymczasem pod samym Barem, taka mnie przygoda spotkała, żem mało przy brzegu nie utonął.

— Jakże to było? jakże?

— Spotkałem pijanych żołnierzów, którzy usłyszeli, jakom do kniaziówny mówił waćpanna. Tak tedy: co to za dziad i co to za szczególne chłopię, do którego się mówi: „waćpanna?" Kiedy spojrzą na kniaziównę, aż tu uroda, jak malowanie! Dalejże do nas. Ja w kąt moję niebogę, zastawiłem ją sobą i do szabli.....

— To dziw, przerwał Wołodyjowski, żeś waćpan za dziada przebranym będąc, miał szablę przy boku.

— Hę? — rzekł Zagłoba — że miałem szablę? A kto waćpanu powiedział, że miałem szablę? Nie miałem, jenom żołnierską pochwycił, co leżała na stole. Krzyczę: stójcie sobaki, bom szlachcic. Aż tu wołają: „alt, alt!" jedzie podjazd. Pokazało się, że to nie był podjazd, jeno pani Sławoszewska z eskortą, którą syn w pięćdziesiąt koni odprowadzał. Dopieroż tamtych pohamowali. A ja do pani z oracyą. Takem ją rozczulił, że zaraz jej upusty w oczach się otworzyły.

Pan Zagłoba jechał przy Skrzetuskim, ale wiercił się jakoś na kulbace i widać było, że wobec blizkiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie? — rzekł do Skrzetuskiego, szepcąc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— A co waszmość powiesz?

— Czy to usarze pierwsi uderzą?

— Mówiłeć waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz, że usarzy konserwuje się do rozstrzygnięcia bitwy, w chwili, gdy nieprzyjaciel najbardziej siły wytęży.

— Wiem ci ja to, wiem, alem się chciał upewnić.

Nastała chwila milczenia. Poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i pytał dalej.

— Czy to Krzywonos z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

— O do dyabła? — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się boję, szeptał dalej Zagłoba, — ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, tak już nic po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie sadzić. Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nic i po fortelach. Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tu ja głupi przy panu Podbipięcie. Mam na brzuchu te dwieście czerwonych złotych, co mi je książę darował, ale wierzaj mi waszmość, że brzuch wolałbym mieć gdzieindziej. Tfu! tfu! nie lubię ja tych wielkich bitew! Niech je zaraza tłucze.

— Nic waści nie będzie. Nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się tylko przecie boję, że męztwo roztropność we mnie zwycięży. Nadtom zapalczywy. A miałem zły omen: gdyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto je wie? może która moja.

— Za dobre uczynki Bóg waszmości nagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi zawcześnie nagrody nie obmyślił.

— Czemużeś nie został przy taborach?

— Myślałem, że przy wojsku bezpieczniej.

— Czy to już? — spytał pan Zagłoba.

— Książę szyk będzie sprawiał, odparł pan Skrzetuski.

— Nie lubię tłoku! — powtarzam waści — nie lubię tłoku.

Nareszcie brzeg po drugiej stronie grobli zaczerwienił się, jak okiem sięgnąć, chmarami kozactwa; pułki płynęły za pułkami, konni zaporozcy, zbrojni w długie spisy, pieszy lud z samopałami i fale chłopstwa, zbrojnego w kosy, cepy i widły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

To było powodem sprzedaży Przylepek Niemcowi, gdyż niebyło innej drogi wyjścia.

Wszelkie komentarze są tutaj zbyteczne.

Obok dwóch powyższych instytucyi państwowych zajmuje się przeważnie na wschodnich kresach monarchii pruskiej parcelacyą większych majątków ziemskich pomiędzy osadników Niemców, prywatny, założony w roku 1894 przez hakatystów, „*Landbank*“, który do końca roku 1896 nabył ogółem 67,950 morgów obszaru, nawiasem mówiąc, przeważnie z rąk niemieckich. Pierwsze sprawozdania tej instytucyi brzmiały bardzo pomyślnie; obecnie jednak nastąpił, o ile się zdaje, pewien zastój w jej działalności, tłómaczącej się przedewszystkiem brakiem ochotników na utworzone osady.

Wystawa w Brukseli.

Wystawa w Brukseli przybrała niespodziewanie wielkie rozmiary. Ostatnia wystawa w r. 1880, urządzona na cześć półwiekowej niezależności belgijskiej, urządzona była w parku, mierzącym 30 hektarów, dzisiejsza zaś rozsiadła się w parku, zajmującym poważny obszar 210 hektarów, — czyli przeszło 2 miliony metrów kwadratowych, z których 114 hektarów pozostaje jako część spacerowa dla publiczności, a 96 hektarów zajęto pod samą wystawę. Przeszło 3,000 m. kw. przeznaczono osobno na wystawę kolonialną.

Sami Belgijczycy, nie licząc kiosków w ogrodach, zajęli przeszło 40,000 m. kw. pod swe okazy, a z tego 15,000 m. kw. przeznaczono tylko na maszyny.

Udział krajów zagranicznych jest następujący: Francya zajęła 16,000 m. kw., — Anglia — 7,000, Niemcy — 2,800, Austrya — 2,500, Węgry — 2,000, Stany Zjednoczone—1,300, Niederlandy— 1,200, Włochy — 1,000, Szwajcarya — 1,000, Turcya — 750, Persya — 400, Luksemburg — 400, Grecya — 250, Chiny, Liberya, Peru itd. rozsiadły się także na wystawie.

Wystawa obejmuje 14 sekcyi: 1) sztuki piękne; 2) ekonomia socyalna; 3) hygiena, medycyna, farmacya i walka z alkoholizmem; 4) środki ratunkowe; 5) sztuki przemysłowe i dekoracyjne; 6) oświetlenie, ogrzewanie, wentylacya i ich zastosowanie; 7) elektryczność i jej przenoszenie: 8) sztuka wojskowa; 9) wyroby przemysłowe, materyały i produkty; 10) sport; 11) ćwiczenia, gry popularne; 12) rolnictwo i ogrodnictwo; 13) nauczanie praktyczne, instytucye ekonomiczne i praca ręczna kobiet; 14) handel kolonii.

Całość uzupełniona jest wystawami dodatkowemi, chwilowemi zjazdami, konferencyami, konkursami śpiewu i muzyki, koncertami, wielkiemi zabawami oraz tak zw. „Concours“. Co się tyczy tego konkursu, rząd wyznaczył subwencyę 800,000 fr. na nagrody, bez różnicy narodowości dla tych, którzy najlepiej rozstrzygną zagadnienia sformułowane w różnych sekcyach wystawy.

Jakie poniesiono ofiary, ażeby wystawę uświetnić, a w szczególności odświeżyć samą Brukselę na przyjęcie rzesz cudzoziemców — dość powiedzieć, że w samym środku miasta zburzono 77 starych domów, aby tylko nową a mniej stromą ulicą połączyć górną część miasta z dolną.

Najwięcej ciekawości budzi wystawa kolonialna. Urządzoną ona została oddzielnie w historycznym zamku królewskim Tervueren, dwie mile od Brukseli. Tutaj to siostra króla, a nieszczęśliwa wdowa po cesarzu meksykańskim Maksymilianie, postradała zmysły na wiadomość o rozstrzelaniu męża. Zamek ten położony w czarującej okolicy, padł ofiarą płomieni, a biedna cesarzowa Karolina, przeniosła się do innej posiadłości, na miejscu zaś dawnych ruin, stanął z woli króla nowy wspaniały zamek, w którym pomieszczono teraz wszystkie produkty państwa Kongo, kolonii afrykańskiej, będącej pod protektoratem Belgii.

Ta ciekawa wystawa kolonialna, wśród wspaniałego położona ogrodu, budzi wysokie zajęcie, między innemi i tem, że tu przeniesiona jest cała wieś z nad brzegów Konga, z 300 murzynami, z żonami, dziećmi, służbą, przyrządami, naczyniami, meblami, łodziami i całym przyborem wojowniczego i pokojowego ich życia. Zamiast rzeki Kongo, oddane są do ich dyspozycyi szerokie stawy, nadające wiele uroku ogrodom Terwiureńskim.

Najznakomitsi podróżnicy, Stanley i jego naśladowcy, wygłaszają w salach, przybranych w trofea afrykańskie i ozdobionych w liczne obrazy, odtwarzające życie i przyrodę kongoską, odczyty publiczne o stanie socyalnym, ekonomicznym i geograficznym, tych nowo dla naszej cywilizacyi zdobytych posiadłości i o blizkiej, lub dalekiej przyszłości tego czarnego świata, okupionego krwią, potem i złotem.

Jedna sala tego „pałacu kolonii“ poświęcona jest sztuce kongoskiej. Cała falanga rzeźbiarzy przedstawiła tam typy tej dalekiej krainy, wyrzeźbione z kości słoniowej. Są to prawdziwe dzieła sztuki.

Wystawa w Tervueren, będąca dopełnieniem brukselskiej, połączona została ze stolicą tramwajami elektrycznemi.

POLITYKA.

Dzienniki paryskie upojone są wiadomościami z Peterhofu i Petersburga. Zapisują one ze skrzętnym zapałem owe tysiączne szczegóły i szczególiki przyjęcia prezydenta Faure'a przez wszystkie warstwy społeczne Rosyi, wiążące się w jeden hymn zbratania dwóch narodów. Istotnie, szczegółów tych jest moc wielka; wszystkie warstwy społeczeństwa rosyjskiego współzawodniczą ze sobą, aby gościowi republikańskiemu dowieść gorących

Marcin Kaptur.

SZKIC HISTORYCZNY Z XVI. WIEKU.

Był to wieczór, słońce spuszczało się już na zachód czerwone, gorejące, a chłodne; dokoła jego, rumiane, wiatr zapowiadające chmurki, wznosiły się po niebie. Na drugiej stronie widokręgu stał czarny obłok nie poruszony, milczący, lecz groźny. Okolica była piaszczysta i zaroślami pokryta. W oddaleniu na prawo świecił się biały zamek Srzemskiego; wojewody płockiego, i unosiły się niebieskie dymy wsi, pod jego murami rozłożonej. Dalej widzi się inne wioski i wieże wiejskich kościołków, i krzaki pożółkłe i poschłe od letniego skwaru. Na drodze piaszczystej unosiły się tumany pyłu siwego, tętniała ziemia od kopyt koni. Liczny orszak jezdnych i wozów szedł od Płocka. Widać było długi szereg komorników i pacholąt barwianych, kolasę piękną, skórą złoconą wybitą, zaprzężoną sześcią końmi karemi; ciągnące się wozy z kuchnią, służbą, drużnemi i podlejszą czeladzią. Cichość panowała wśród orszaku i konie szły powoli. W kolasie jechał mężczyzna podeszłego już wieku, na którego czole malowały się duma i odwaga. Ubrany był ciemno, czapka wysoka siedziała mu z kitą nad czołem, siwy wąs opadł na dół, i kończył się aż na piersiach. Na nim była lekka ferezya spięta, z złocistemi guzy i sznurami. Przy jego kolasie jechało kilka młodzieży, za nią wieziono konia jezdnego pod pięknym dywdykiem z bogatem siedzeniem, złoconym rzędem, trzęsidłami z piór u łba, malowaną grzywą i ogonem. Pacholęta pańscy chichotali z tyłu, a za niemi wiedli psiarze kilku sfór ogarów i dwie smycze chartów, białozornicy jechali z ptakami, w kapturach i dzwonkach u spętanych nóg. Wspaniały był widok tego pocztu, choć to tylko był dwór wojewody płockiego, pana Srzemskiego, mało znaczącego człowieka, lecz lubiącego żyć dobrze, nie dbającego wiele o dłużników, których czasem kijem też za wrota wypędzano ze dworu, zwłaszcza Żydów niewiernych.

Kolasa wojewody sunęła się powoli po piasku, gdy pan Sremski usłyszał po za sobą tętent, i obejrzawszy się ujrzał goniącego jakiegoś człowieka na chudej marsze, osiodłanej prostym łękiem, z uzdą skórzaną na pysku. Był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, silnej budowy, twarzy czerwonej i wesołego wyrazu, po której widać było blizny od gęstych szram. Ubrany był w prostą opończę z kapturem, czapkę baranią, kontusik wytarty, a rzemiennym pasem pociągniony, buty juchtowe czarne. Na wierzchniej wardze tępo ucięty wąs łączył się z zarastającą brodą i podbródkiem, wśród których czerwieniały usta szerokie; wyżej świeciły mu się strasznie oczy czarne w pąsowej oprawie. Cała twarz zdawała się mówić: Jestem zawadjaka! Trzymał się na koniu krzywo i niedbale, ale koń bał się go, bo się strasznie wyciągał pod nim; potem zlany, bokami robiąc, z nozdrzem rozdartem, wysadzonem na wierzch okiem i naprężonemi żyły.

Wojewoda obejrzał się na niepoczesnego jeźdźca, i wlepiwszy weń chmurne brwiami zawisłe oczy, zdawał się chcieć go rozpoznać, tego jednak dokazać nie mógł, bo choć mu się coś ochapiało, nie przypominał sobie nazwiska zawadjaki.

Przejeżdżający mało zważał na poczet pana wojewody, i przeciw zwyczajowi wymijać go zaczął, ani się nawet skłoniwszy, usiłując wolno wlokącą się wyprzedzić czeredę. Było to wielkie zuchwalstwo; służba i komornicy wojewodzińscy szemrać zaczynali, gdy wojewoda sam ciągle nie spuszczając z oka jeźdźca, właśnie gdy ten kolasę jego kłusem tęgim wymijał, ozwał się dość głośno:

— A toż co za chłop?

Dosłyszał tego jeździec, obejrzał się, zaczerwienił, ściągnął koniowi lice i chciał

sympatyi, jakie uzasadnione być mogą tylko w najściślejszym związku politycznym, wiążącym obydwa narody.

Co najważniejsza — tak oczekiwane przez Francuzów potwierdzenie przymierza zostało wygłoszone przez cesarza Mikołaja — i to nawet dwukrotnie.

Na okręcie „*Pothuau*“ kilka godzin przed odjazdem do Paryża odbył się galowy pożegnalny obiad. Prezydent wzniósł toast, w którym zaznaczył, że oba narody (tj. rosyjski i francuski) złączone wspólną *przyjaźnią i przymierzem*, dążyć będą do ideałów cywilizacyi—na to zaś odpowiedział cesarz Mikołaj słowami: Szczęśliwym się czuję, widząc, że pański pobyt wśród nas przyczyni się wielce do umocnienia *więzów przyjaźni i przymierza*, w duchu których gotowe są nasze narody całą siłę poświęcić utrzymaniu *pokoju i sprawiedliwości*. Toast tej treści po raz drugi wygłosił cesarz Mikołaj przy innej sposobności.

Teraz szczęśliwy Faure wraca do Francyi: jego zamiary zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem — na bulwarach paryskich z entuzyazmem witać go będą tłumy.

A Niemcy? Z kwaśną miną pisze „Freis.-Ztg.“: „Francuzi mogą się teraz cieszyć“. — O, zapewne, Francuzi się cieszą, a Niemcom zazdrość!

Wizyta prezydenta w Rosyi została więc uwieńczona pomyślnym rezultatem. Alians pomiędzy Rosyą a Francyą został proklamowany, jak donosi „*Berl. Tagebl.*“ podpisano go na kilka dni przed tem, w Paryżu entuzyazm nie do opisania, a Niemcy starają wytłomaczyć sobie, że — to nic nie szkodzi. Jak wielkie znaczenie miały toasty cesarza i Faure'a wnosić już z tego można, że zostały przez nich odczytane i naprzód w najdrobniejszych szczegółach ułożone. Prezes ministeryum oraz ministrowie udadzą się na spotkanie Faure'a na wybrzeże francuskie.

Angielska prasa niezmiernie się cieszy z aliansu rosyjsko-francuskiego pisząc, że on położy wreszcie kres pruskiej gospodarce w Europie, a Niemcy już przestaną mieć głos decydujący w sprawach międzynarodowych.

Co się tyczy stosunków, panujących obecnie w Turcyi, to zauważyć trzeba, że pomimo wmięszania się dyplomacyi europejskiej, stosunki te nie uległy zmianie na lepsze, owszem raczej zmieniły się na gorsze. Jak przed rokiem tak i teraz mówią w Carogrodzie wciąż tylko o spiskach rewolucyjnych, o zamachach. W ubiegłym tygodniu kilkakrotnie podrzucono bomby dynamitowe pod rządowe gmachy.

Jak tylko nastąpił wybuch bomby przed gmachem W. Porty w ubiegłą środę, turecki minister wojny wydał natychmiast rozporządzenie do władz wojskowych stolicy, ażeby miały wojsko w pogotowiu i pod żadnym pozorem nie dopuściły rozruchów. Podobno tu i owdzie zjawili się w mieście osławieni zbirowie, których dziełem były rzezie zeszłoroczne, lecz natychmiast zasadzono ich do kozy.

Opinia publiczna poszukuje ręki, która kierowała zamachami w ubiegłym tygodniu. — Rzecz charakterystyczna, że Turcy oskarżają Anglię o kierowanie zamiarami spiskowemi, która to miała robić celem wywołania rzezi i uniemożliwienia zawarcia pokoju. Komitet rewolucyjny ormiański podejrzewa znów rząd turecki, jako sprawcę zamachów. W samym Konstantynopolu trwają aresztowania Ormian. Na przedmieściu Skutari przyjęto policyę w jednym z domów wystrzałami z rewolwerów. Musiała ona aż zażądać pomocy wojska. Zabrano piętnaście osób, mężczyzn i kobiet.

Stosunki te wymagają gwałtownej naprawy; co prawda sułtan solennie obiecał zaprowadzenie reform; jako na oczywisty dowód jego dobrych chęci wskazują na okoliczność, że Murad-bej przywódzca młodoturków i autor głośnej broszury o reformie w Turcyi został przywołany z wygnania i zajął wysokie stanowisko na dworze sułtańskim. Chodzi o to, czy reformy zapowiedziane w broszurze Murad-beja zostaną urzeczywistnione, dzięki jego wpływowemu stanowisku. Wątpić nie można, że uczyniłyby one w krótkim czasie z Turcyi europejskie państwo, tembardziej, że dzięki wielkiej liczbie cywilizowanych Europejczyków pierwsze kroki ku zmianie stosunków zostały już uczynione.

Lecz nad Bosforem bardziej niż gdzieindziej działają te ciemne elementy, których zadaniem jest sparaliżować wszystkie dobre zamysły i przyspieszyć podział Turcyi. Panuje ogólne przekonanie, że sułtan nie ma wcale pojęcia o tem, co się dzieje w jego kraju a wobec tego wątpić można, czy zdobędzie się on na tyle energii, aby uwolnić się od wpływów przemożnej dworskiej kamaryli. Obawa przed wszelkiemi zaburzeniami zaszła w Carogrodzie już tak daleko, że wydano nawet zakaz iluminacyi miasta, która projektowaną była z okazyi rocznicy wstąpienia na tron Abdul-Hamida.

„*Berl. Neueste Nachrichten*“ donoszą, że rząd angielski dowiedział się o rzekomem porozumiewaniu się cesarza austryackiego z carem, podczas ostatniego pobytu cesarza w Petersburgu co do planu podziału Turcyi. Dla tych planów ma obecnie car pozyskać Faure'a. To ma być powodem, że Anglia czyni obecnie trudności w sprawie grecko-tureckich rokowań pokojowych.

Bardzo ważne zmiany przygotowują się w Austryi. Hr. Badeni przedsięwziął niedawno przeprowadzić ugodę czesko-niemiecką i natrafił na stanowczy opór Niemców. Chodzi więc teraz o to, czy będzie rządził bez Niemców, na dobro i z pomocą ludów słowiańskich, czy też ustąpi, a Niemcy schwycą ster w ręce. Od tego zależeć będzie przyszłość Austryi.

Stany zjednoczone mianowały przed paru miesiącami nowego posła w Madrycie

---

coś odpowiedzieć, ale potem jakby się rozmyślił, odwrócił się tylko i zawołał, spinając konia żelaznemi ostrogami:

— Powiedz to jutro, Mościwy panie, ale ci bez zakrztuszenia przez gardło nie przejdzie.

Nie słyszał tego wojewoda, a jeździec poleciał szybko naprzód, cały zapłomieniony i trzęsący się od gniewu, kiedy niekiedy przemawiając sam do siebie półsłowami.

Gdy już poczet wojewody został dobrze w tyle za nim i zniknął w tumanach pyłu jeździec zwolnił biegu koniowi, pokręcił wąsa, i oglądając się, a poprawując na siodle rzekł:

— Powtórzysz mi to jutro, panie wojewodo! powtórzysz; a powiem ci, com ja za chłop! Muszę no tylko wymacać, czy jutro nie będziesz z nim w drodze. Coś mi się marzy, że ty tylko panujesz w swoim zamku! Zaśpiewam ja ci na drodze piosenkę!!

To mówiąc pan Marcin Brzozowski, tak się zwał ów jeździec, stanął u karczemki należącej do zamku pana Srzemskiego i uwiązawszy dyszącego konia u słupa, poszedł do Żyda.

Żyd znał dobrze zawadyakę gostyńskiego, bo głośnym był junakiem pan Marcin Brzozowski. Przyjaciele zwali go pospolicie przezwiskiem Kaptura, że opończę od słoty z kapturem nosił, a gdzie kaptur jego zawitał, już tam się bez szumu nie obeszło. Zatem Żyd nizko mu się skłonił jarmułką i stał milczacy.

— Twój pan, wojewoda, dziś powróci do zamku? — spytał go pan Marcin.

— Tak, jaśnie panie, — odpowiedział Żyd.

— A czy długo w domu bawi?

— Komornik jego, co tu był, przyjechał z Bilska i mówił, że jasny pan wojewoda tylko przenocuje, i pojedzie za pilnem do Warszawy.

— Pewnie?

— Już nawet wozy wyprawili naprzód.

To tylko chciał wiedzieć pan Marcin, siadł na koń i pojechał, a serce mu biło, a oczy pałały, a ręce się trzęsły.

Przejechawszy wioskę, rzucił się kręto w lewo między płoty i biegł co tchu drożyną, do dworku bielejącego pod lasem, koło którego dymiły się dwa czy trzy kominy chałup chłopskich. — Zajechał w dziedziniec, na którym pasło się stado świń, chodziły konie, owce i wszystek dobytek, tylko co z pola przygnany. Pan Marcin przywiązał swoją szkapę do kółka u wrót, i sam pobiegł do domu.

— Jest pan doma? — spytał chłopaka, który w sieni czyścił rząd na konia, niegdyś złocisty, a teraz tylko mosiężny.

— Jest, pąnie — odpowiedział chłopak, wstając.

Otworzył pan Marcin skrzypiące nizkie drzwiczki i zawołał:

— Niech będzie pochwalony! pokój temu domowi!

— A! Kaptur! — ozwał się otyły gospodarz, powstając i zachylając kapotę, pod którą tylko płócienne widać było ubranie.

Izba, do której wszedł pan Marcin, była czysta, wybielona, dwa małe oświecały ją okienka, miała piec prosty i kominek, ławy dokoła, z których jedna przykryta była kilimkiem, na ścianie krucyfiks, zielem święconem otoczony, u drzwi kropielnica, stół dębowy w pośrodku, stara zbroja, koszulka druciana i misiurka wisiały na ścianie.

— Hej pani Barbaro! — krzyknął gospodarz — światła niech podadzą i miodu! Niechże cię uściskam, panie Marcinie!

Pani Barbara pobiegła do alkierza, ledwie rzuciwszy okiem na gościa, a pan Marcin ścisnąwszy gospodarza za rękę, odpowiedział:

— Nie potom ja tu mości panie przybył, abym z WM. panem bratem pił i hulał. Jeszcze mi się policzki czerwienią, gdy sobie wpomnę moję krzywdę! Tu im Waszmościnej pomocy potrzeba! Waszmość jesteś brat szlachcic jak ja, i com mnie dziś, jutro tobie, jeśli sobie damy po nosie jeździć.

Najlepsze gilzy do papierosów są: z fabryki mechanicznej gilz „Szeliga“ S. Żychlińskiego w Poznaniu, Wilhelmowski Plac Nr. 9.

Jenerał Woodford, który otrzymał to stanowisko, należał kiedyś do ligi kubańskiej i wogóle miał występować bardzo nieprzychylnie względem Hiszpanii. Na razie uważano więc nominacyę jego przy dworze madryckim za chęć ubliżenia Hiszpanii. Pogłoski te niebawem ucichły, natomiast zaczęły krążyć inne, mianowicie, że jenerał Woodford wiezie z sobą specyalne instrukcye co do zachowania się rzeczypospolitej północno-amerykańskiej w kwestyi kubańskiej.

Rząd hiszpański otrzymał już drogą urzędową wyjaśnienie co do instrukcyi, które wiezie z sobą jenerał Woodford. Mac Kinley pragnie utrzymania *status quo* w sprawie kubańkiej, tak, iż dotychczasowe serdeczne stosunki pomiędzy Madrytem a Waszyngtonem nie zostaną na szwank narażone. Rząd hiszpański, zapewniony o neutralnej postawie Stanów Zjednoczonych, zamierza wysłać na Kubę 20 tysięcy wojska, na Portorico — 2, i na wyspy Filipińskie 8 tysięcy — dla zapełnienia luk, które powstały w szeregach. Cyfry te świadczą wymownie o tem, ile powstanie zamorskie kosztuje Hiszpanią. Rokosze trwają wszędzie, przybrawszy charakter rozproszony i chroniczny. I prawdopodobnie będą jeszcze długo ciągnęły się, jeśli następca Canovas'a nie porzuci taktyki swego poprzednika, — taktyki, opartej na gwałcie i samowoli.

PRZEGLĄD PRASY.

W szeregu artykułów poświęconych sprawie językowej w szkole uzasadnia gruntowanie „*Kuryer Poznański*“ potrzebę uwzględnienia narodowego języka:

»Czy nauka w szkole ludowej może swój cel osięgnąć? Wprawdzie w początkowej nauce wskazuje nauczyciel dzieciom przedmioty, je otaczające, jak powiedziano, ale czy na to, żeby dzieci myśleć się nauczyły? Nie, — dzieci najczęściej bezmyślnie uczą się nazywać po niemiecku pokazywane im przedmioty, także ich barwę, kształt, przeznaczenie, części z których się składają. Przy nauce prawidłowej nauczyciel nie powiada dzieciom nazwy przedmiotów, im znanych, ani ich przymiotów nie wymienia, tylko dzieci pobudza przez pytania, żeby same ze siebie odpowiadały i przez to kształciły swój umysł. Ale jakże mogą dzieci polskie same ze siebie nazwać po niemiecku przedmioty je otaczające, i wymieniać po niemiecku ich przymioty? A przecież języka polskiego nauczyciel w szkole ma jaknajmniej albo wcale nie używać! Jakże tu więc dzieci mają się nauczyć myśleć? Nauczyciel przepowiada im wyrazy i zdania po niemiecku, dzieci powtarzają je najczęściej bezmyślnie. Jakże więc może nauka w taki sposób swój cel osięgnąć?«

Mamy nawet już Niemców, którzy w zupełności podzielają te zapatrywania — bo się im wydają logiczne. Nam jednak kwestya języka naszego w szkole nietylko jest rzeczą sprawiedliwości i prawa, ale z praktycznej strony brana — jest ona sprawą naszego bytu.

„*Nowiny Raciborskie*“ tak piszą:

»Nie zapominajmy, że po wierze naszej, po nadziei w lepszą przyszłość i po dobrej woli zapracowania na tę lepszą dolę język nasz jest jedynym skarbem, którego nam nic wydrzeć nie zdoła. A na cóż się przyda, że posłowie nasi bój zacięty o zachowanie nam języka narodowego wiodą, jeżeli my z owoców tej walki korzystać nie chcemy? Mowa ojczysta to niby zamek obronny lub świątynia, z niezliczonych zbudowana kamieni. Wrogowie bezsilni są wobec twardych murów warowni; lecz my, kalecząc mowę ojczystą, samobójczą przykładamy rękę do dzieła zniszczenia tej świątyni naszego ducha, wyjmujemy kamień po kamieniu z jej głębokich fundamentów, aż gmach cały, w podwalinach własnemi naszemi dłońmi podkopany, runie, przygniatając nas swoim ciężarem«.

Jak więc niskiem i podłem jest starać się nauczanie religii, szerzenie słowa Bożego nagiąć do celów politycznych, ukuć z niego broń przeciw prawu natury! A tego dopuszczają się hakatyści, nietylko czynem ale i słowem — w każdym prawie numerze swej osławionej „*Ostmarki*“.

Pisze „Ostmark“:

»Przez konsekwentne nauczanie religii w języku polskim udało się księżom katolickim spolszczyć tak zwanych Bambrów, Niemców-katolików, którzy przed stu laty przybyli w okolicę Poznania«. — A więc — znów niedokończa głowacz hakatystów swych myśli — nauczajmy konsekwentnie dzieci polskie religii w języku niemieckim, a za jakie sto lat dzisiejsi Polacy będą Niemcami«.

Na to tak dosadną odpowiedź daje hakacie „*Gazeta Grudziądzka*“:

»Rozumie się, że pan redaktor miał na myśli porównanie Polaków z Bambrami i wysnuł z niego wniosek, że nas może jeszcze sam będzie oglądał Niemcami. Niech tedy czeka z Bogiem, dożyje lat Matuzalowych, a my nie przestaniemy być tem czem jesteśmy, Polakami i katolikami«.

Do tego samego przekonania przyjść musi każdy, kto z własnego doświadczenia przekonał się jak silnem jest poczucie narodowe u naszego ludu. Przekonał się o tem i ks. kardynał Kopp, o czem petersburski „*Kraj*“ taką zdaje relacyę:

»Kardynał Kopp, obcy stosunkom lokalnym i pewnem uprzedzeniem przesiąknięty jeszcze w epoce swojego przybycia z zachodu Niemiec, w początkach poważnie — jak się zdaje — myślał o możliwości germanizowania Szlązaków przez kościół; w końcu jednakże zdobył się na przeświadczenie, że to jest niemożliwe; w interesie

---

— A coż to Waszmości się stało? — spytał gospodarz, stojąc przed nim pełen zdumienia i już prawie gniewny, a przynajmniej usposobiony do gniewu.

— Co i co! ten senatorczyk, pan wojewoda Srzemski, tylko co spotkał się ze mną na drodze. Wiesz Waszmość, że ja się nie rad stroję i nie wyglądam na gaszka; ale się za to na mnie nikt nie zawiedzie, ale za to cudzego i swego chleba nie przemarnuję na puste bawidełka. A dobrze mi w mojej opończy, jak drugiemu nie lepiej w pożyczanem złocie! I dlatego, że mnie wojewoda widział licho ubranym, śmiał mnie, Brzozowskiego, herbu Belina, z dziadów i pradziadów szlachcica, nazwać *chłopem*.

— *Chłopem!* on WMość *chłopem* śmiał nazwać! — krzyknął pan Sławek, uniesiony gniewem. — A dajcież mi szablę, a pójdziem; już my go nauczymy, co chłop, a co szlachcic! — I tu rozpuściwszy poły kontusza, począł po izbie latać pan Sławek. Dobrze bowiem trafił pan Marcin naprzód do niego, jako do sąsiada pana wojewody, który ciągle z nim darł koty i siedząc na kilku zagonach, lękając się najazdu i przemocy magnata, pałał ku niemu najsroższą nienawiścią.

— Hej! konia no tam siodłajcie! — wołał pan Sławek; — mego siwo-jabłkowatego!! pojedziemy! jedźmy: Chłopcze, daj tu pasa! Maciek, pasa! buty, szablę!

I wołał, i biegał, i odziewał się co prędzej.

— Czekaj, czekaj, — rzekł pan Marcin — we dwóch przecie na wojewodę nie naskoczym, boby nas zdespektował; trzeba nam jechać do przyjaciół i jutro dopiero zajechać mu drogę w dobrym poczcie. Bo jutro on wyruszy do Warszawy! Dopieroż go tam spytamy wszyscy, czego mnie nazwał chłopem, kiedy widział u mnie szablę u pasa. Pokażę ja mu, com za chłop, aż mu jego senatorstwo pójdzie gardłem nazad. Niechaj się obejrzy na swój herb! Co mi za herb jakiś nowotny, i pierwszy to senator tego herbu i imienia!

To mówiąc Kaptur, chodził i zżymał się.

Zacny herb Drogosław! Kto słyszał o tym herbie? Lepszać moja Belina!

O! i jak lepsza! — odpowiedział pan Sławek — aleć my go nauczym i nie damy sobie w kaszę dmuchać. A jeźli go Waszmość weźmiesz na naukę w swoje ręce (dodał), to wcześnie posłać trzeba na egzekwie do Płocka, i niech mu katafalek stawią! — To mówiąc, krzątał się po izbie i ubierał, tymczasem pani Barbara kazała dziewce podać miodu i dwa kubki. Szlachta ledwie miodu się dotknęli, na panią Barbarę i okiem nie rzucili, a całkiem sobą i wypadkiem zajęci, wypadłszy z izby, dopadli koni i ruszyli.

— A dokąd pojedziem? — spytał pan Sławek, któremu towarzyszyło kilku ludzi na tęgich koniach.

— Jedźmy do Wólki, — rzekł Brzozowski — do pana Macieja; u niego zawsze biesiada i dużo gościa; tam co znajdziem szlachty, to ich zabierzem z sobą na jutrzejszą wyprawę.

To mówiąc, puścili się kłusem przez pole; a była już noc ciemna, ale konie i panowie dobrze drogi znali. Jechali tęgą godzinę, aż pokazały się światełka w wiosce i na pagórku z drzew kilka okien oświeconych zaświtało, zwiastując dwór pański.

— Dobra nasza! — rzekł Kaptur — świeci z okien, zastaniem braci szlachtę.

Tu nanowo podciąwszy koni, puścili się błotnistą ulicą ku dworowi, potem grobelką drzewami osadzoną, mimo karczmy, i wpadli w dziedziniec, na którym było siła czeladzi i gwar wielki.

Otworem stały drzwi od sieni, przez które buchał gwar z rozmaitych głosów złożony, śpiewów, krzyków, łajania, śmiechu, brzęku itd. Kilka kobiet widać było naprzeciwko, tulących się bojaźliwie i spoglądających przeze drzwi do sieni, gdzie podpili słudzy, czerpiąc piwo konwiami z beczki, grali w kości, śmiali się i rozmawiali.

— Otóż ktoś jeszcze przybywa, — odezwała się podeszła niewiasta z cicha — jacyś jeszcze zawadyje, co natłuką tu,

więc religii i moralności swych dyecezyan, otoczył język polski względnością niejaką, żeby nie powiedzieć pieczą. Zaprowadził naukę języka polskiego w seminaryum duchownem, wyraźnie kilkakrotnie oznajmił, że śpiew polski wzniosłe i budujące sprawia na nim wrażenie, że jest przeciwnym wypieraniu go przez niemiecki związek św. Cecylii; przytem we wszystkich swych objazdach po dyecezyi ks. Kopp zawsze ma przy sobie kapłana Polaka, który przemówienia jego ludowi na polskie tłomaczy. Mimo to, niestety, dawniejsza zażyłość ludu górnoszląskiego z duchowieństwem wystawioną została na szwank w ostatnich czasach i psuje się coraz więcej. Duchowieństwo winę nieporozumień przypisuje publicystyce polskiej, prowadzącej jakoby tendencyjną propagandę »wielkopolską«; nawzajem lud i publicystyka oskarżają księży o powolność i niekiedy sprzyjanie zakusom germanizacyjnym. Z wywodów tych możnaby wycisnąć po kropelce prawdy i z jednej i z drugiej strony. Duchowieństo istotnie, z małemi jak dotąd wyjątkami, nie otrząsło się dotąd z uczuć niemieckich; sądząc najłagodniej, zawyrokować trzeba, że pozostaje ono na tem samem stanowisku, jaki zajmował lud cały przed rozpoczęciem walki z kościołem«:

Na nieszczęście dla nas i dla siebie zmienił widocznie duchowny pasterz wrocławski swe przeświadczenie co do bezskuteczności posługiwania się słowem Bożem w celach germanizacyjnych, bo oto naraz użył powagi duchowieństwa swego, aby rozwiązać Towarzystwa św. Alojzego, w których się rząd dopatrywał tendencyi polskich. I oto cóż się stało? większość Towarzystw nie ulękła się wydanego rozkazu i Towarzystwa istnieć będą same dalej. Cześć im za to, że umiały rozpoznać jak daleko powinna sięgać władza ks. kardynała!

* * *

Wogóle to już przyznać trzeba, że lada słowo „Towarzystwo polskie“ już tak działa na niemiaszków jak czerwona chorągiew na rozjuszone zwierzę.

»Gdzież to żyjemy!« — woła zaperzony jakiś abonent „*Dt. Warte*“ w rubryce przeznaczonej dla wynurzeń czytelników tego pisma. Wykrzyknik ten wywołuje u rozsierdzonego hakatysty wiadomość o proponowanem utworzeniu centralnego związku dla polskich przemysłowców. Już mamy — wykrzykuje on — żydów, którzy wyłącznie opanowali dziedziny ekonomiczne, dokąd że to doprowadzi? Co najgorsza w oczach tego pana, to to, że Polacy nie występują jako Niemcy. Tej zuchwałości polskiej raz należy położyć tamę, ku czemu następny zaleca środek. Trzeba im (Polakom) postawić pytanie, czy chcą zostać Niemcami albo nie; w ostatnim razie niech sobie wywędrują, a w każdym razie trzeba ich doprowadzić do świadomości, że każde wystąpienie jako Polaków zostanie bezwzględnie stłumione«.

Zajścia polityczne w Austryi powinnyby nauczyć trochę rozumu naszych najserdeczniejszych i wpoić im zbawienną zasadę, że równą miarą trzeba mierzyć wszystkie ludy, bo jednakowe one mają prawo do bytu przed Bogiem i ludźmi. Tymczasem gdzie tam! Nauka poszła w las! Szowiniści austryaccy krzyczą o ucisku, a niemieccy im wtórują.

Hakatystowski „*Posener Tageblatt*“, który pieni się ze złości na samą myśl równouprawnienia języka polskiego, pisze gdy chodzi o austryackich Niemców, co następuje:

»W gruncie rzeczy nie należy może tak bezwarunkowo odrzucać przewodniej myśli, która nadała rozporządzeniu hr. Badeniego cel i kierunek, jak to się stało ze strony niemieckiej. Ponieważ bowiem szczep niemiecki i czeski mieszkają i równają się niemal pod względem liczebnym, ponieważ dalej Czesi już od lat dawnych walczą o równouprawnienie obydwóch narodowości, to rozumiemy, że wyłączne posługiwanie się językiem niemieckiem jako językiem urzędowym odczuwali jako upośledzenie własnego narzecza i dążyli do naprawy«.

Skrzętnie zanotował to zdanie „*Kuryer Poznański*“ i opatrzył je taką uwagą:

»Dziękujemy »Pos. Tageblattowi« za dodanie nam otuchy w walce o równouprawnienie naszego języka, który chyba nie jest gorszym od języka czeskiego i którym mówi nie połowa, lecz przeważna część naszej dzielnicy: w obec tego mamy nadzieję, że »Pos. Tagebl.« kiedyś przyzna, że posługiwanie się w urzędach wyłącznie językiem niemieckim jest istotnie upośledzeniem naszego języka!«

Słuszne uwagi pod adresem Hakaty przesyła „*Gazeta Gdańska*“:

»Dziwne pokrewieństwo ducha i myśli wieje pomiędzy austrackimi szowinistami a hakatystami rzeszy niemieckiej, którzy hecę w Czechach wszystkiemi siłami popierają. Jest tylko ta różnica, że podczas gdy austryaccy hakatyści otwarcie już przyznają, że im chodzi o pozbawienie bytu materyalnego, ba nawet i dachu po nad głową, Czechów, Polaków, w ogóle wszystkich Słowian — to nasi hakatyści tego celu się wypierają. Czynią to zaś dla tego, aby łowić rybki w mętnej wodzie i jednać sobie jak najwięcej zwolenników. Dużo też landsmanów daje się złapać na szumne i rozpaczliwe nawoływania o niebezpieczeństwie »vaterlandu«, o ucisku »biednych« Niemców przez »zajadłych Polaków, a dopiero, gdy im bielmo z oczu zejdzie — protestują, jakoby należeli do tego obozu, nawarzywszy sobie piwa, które im się za gorzkiem być wydaje.»

»Samem jednak popieraniem szowinistów austryackich zdradzają się nasi hakatyści, iż mają jedne i te same dążenia, i że cel uświęca środki. Pisma hakatystyczne — jak np. »Danz. Allg. Ztg.« — korzystając naturalnie z okazyi, szczują jeszcze rząd na Polaków, wyciągając z zaburzeń w Czechach takie wnioski, iż Polacy są dobrymi poddanymi, lecz potrzebują żelaznej pięści po nad sobą(!); skoro bowiem tej nie czują, stają się zarozumiałymi i występują wrogo prze-

---

napiją i pojadą, nakresowawszy sobie pysków.

— To Kaptur Brzozowski — odpowiedziała druga — nie obejdzie się bez szabel i poswarku!

— A drugi z nim pan Sławek, — rzekła inna — i ten dobry do wypitej i do wybitej. Tydzień temu, nie więcej, poobcinał uszy komornikowi pana cześnika, że mu coś niezdarnego odpowiedział. Takiemu młodemu chłopięciu! Aż żal było patrzyć, jak go okrwawił!

Gdy się ta rozmowa toczy, nasi wpadli do izby, gdzie głośna brzmiała biesiada.

— Ha! ha! — dawaj tu kielicha! hej! witajcież WMpanowie! A skądże to tak późno to mi szczęście zdarzyło! Hej sam wina piwniczy! hej!

Inni witali także.

— A Kaptur! — jak się WM. macie?

— Sławek! Bóg z wami, — czyście zdrowi?

— Przez zdrowie wasze! — panie Brzozowski.

— Witajcie nam, panie Marcinie!

— Jak się ma pani Barbara?

— Niech cię uściskam, Sławku! — bodaj cię z twoją charcicą! hę?

Pijani dobrze szlachta witali, wołali, krzyczeli, wyciągali ręce, zajęci przybywającymi gośćmi.

Ja ani usiądę, ani wypiję! — rzekł Kaptur — póki mnie Waszmość nie posłuchacie! Jestem skrzywdzony! okropnie skrzywdzony!

Tu runęły ławy, szczękły kielichy, zabrzękły szable, jedni przez drugich się powychylali, niektórzy na ławy, inni na stół nawet powłazili.

— Co? jak? kto? gdzie? bij! zabij! Jakiż to łotr! Cóż to za bestya! Uszy mu poobcinać! A czemuś go nie zdusił! Dajcie go tu! Kto się ważył?

— Słuchajcie Waszmość, — odpowie Brzozowski, — i nie ja jeden, ale wy wszyscy jesteście skrzywdzeni, i wy wszyscy powinniście mi pomódz do zemsty! Godzin temu ledwie kilka, na drodze od Płocka spotkałem wojewodę jadącego do siebie. A gdym go niepocześnie ubrany, tak jak tu stoję, mijał, śmiał mnie w głos nazwać *chłopem*! dlatego, żem był sam jeden i licho odziany. Alem go prosił, by mi to jutro powtórzył. Jutro wojewoda jedzie do Warszawy, trzeba, żebyśmy się wszyscy szlachta zebrali, zajechali mu drogę i spytali, jakiem czołem śmiał to rzec jednemu z nas? Kto z was czuje szlachecką krew w sobie, za mną, panowie bracia!

Wszyscy krzyknęli:

— Zgoda, zgoda! jedziem, jedziem! dalej na koń!

— Wieleż nas tu jest? — spytał Kaptur.

Policzyli się oczyma i pan Sławek ozwał się:

— Dwudziestu!

— O, to mało, — odpowiedział Brzozowski — trzeba, żeby nas więcej było, niż wojewodzińskiego dworu. Niech będzie nas dwudziestu, a czeladzi dwudziestu z pacholęty, i tego mało! Kto z was panowie bracia łaskaw, niech rusza po szlacheckich dworach i zwoła szlachtę jak na pospolite ruszenie w obronie szlacheckiej czci i sławy. Jutro jak godzina na dzień, zbierzemy się wszyscy zbrojno, a uczciwie odziani, wedle przemożności swej, za karczemką pana Sławki, za borem, na warszawskim gościńcu, u mogiły kowalowej, koło Bożej męki.

— Zgoda! zgoda! a chłop chyba, kto nie ruszy. Do strzemienia, napijma się panie bracie, wsiadanego! — A przez drzwi zawołali ochotnicy: — Hej służba! koni! podawajcie koni!

Tak nagły wyjazd przeraził służbę, która co tchu pobiegła po stajniach i obórkach zbierać resztę koni swych panów i nuż uzdać co prędzej. Myśleli, że najmniej Tatarzy wpadli na Podlasie i pospolite nakazano ruszenie; tymczasem goście szukali pod ławami czapek, pasów, szabel, pili, ściskali się i najeżdżali, odgrażając na wojewodę. Wkrótce pusto było we dworze, i pani Maciejowa ka-

Poznańska Introligatornia, Poznań, ul. Wodna nr. 2 Isze piętro
poleca się do **wszelkich prac introligatorskich przy punktualnem, spiesznem i taniem wykonaniu.**
Specyalność: **książki handlowe dostarcza podług każdego szematu**

ciw Niemcom. Że i ta heca wywołuje nieraz smutne następstwa, to nikogo dziwić nie może, gdyż kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Odpowiedzialność za następstwa tej hecy spada na tych, co ją uprawiają, tj. głównie na wrogie nam blatty.«

Listy z podróży.

(Specyalna korespondencya „Pracy").

II.

Jestem w zbiorowisku międzynarodowości, ale nie w pojęciu socyalno-demokratycznem. Do Wiesbadenu zjeżdża się cały świat — przybywają tu turyści nietylko ze wszystkich krajów Europy — Albion przeważa — ale ze wszystkich niemal części świata. Ameryka, Australia, Afryka i Azya mają tu swych reprezentantów. Azya nawet dała nam tu jednę z koronowanych głów, bo króla Siamu. Ciekawość moja równie wielką była, jak wielu innych turystów, aby ujrzeć króla Jegomości, którego podejmowała Anglia tak gościnnie — a Warszawa podziwiała może więcej niż na to zasługiwał. Gdyby król siamski nie był jechał powozem z wygalonowanym służącym i woźnicą na koźle, byłbym nie poznał, że to monarcha. Twarz żółtawa, kości policzkowe wystające, oprawa czarnych oczu nieco skośna, wąs wązki czarny i długi okalający wydatne nieco usta — oto fizyognomia siamskiego władzcy. Pomimo niepozornego wyglądu ma to być człowiek dosyć inteligentny, poznał on naprzykład, że ile razy Anglia i Francya ze sobą się kłócą w okolicach, nad któremi on panuje, tyle razy ubędzie mu kawał kraju, czyli, że on płaci koszta wszelkiej krewkości i Francuzów i Anglików. Uwaga ta, którą istotnie zrobił król Siamu, jest o tyle ciekawą, że zadaje kłam łacińskiemu przysłowiu, które brzmi w polskim języku: „gdy dwóch się kłóci, trzeci się śmieje". W Azyi jest inaczej: „gdy dwóch się kłóci z Europy, król Siamu płacze". Król Siamu, którego nazwisko i tytuły są tak długie, że ze względu na miejsce je całkiem opuszczam, wyjechał do Berlina, aby widzieć się z cesarzem. Szczęśliwej drogi!

Może nie byłbym pisał wcale o władzcy azyatyckim, gdybym nie był poznał właśnie w czasie, gdy król miał przejeżdżać pewnego Francuza, z którym wdałem się w dłuższą gawędę.

W czasie podróży robi się takie znajomości równie łatwo, jak się o nich zapomina, ale pomimo tej przelotności — dowiedzieć się można niejednej ciekawej rzeczy. Tak Francuz mi się zwierzył, że jeżeli ktokolwiek sądzi, że idea rewanżu we Francyi przygasła, bardzo się myli. Ta idea przechodzi z ojca na syna i trwać będzie tak długo, aż nastąpi zadośćuczynienie.

— Kiedy? Sapristi! tego nikt nie wie! Ale my się wielu rzeczy spodziewamy po Rosyi — mówi Francuz wpadając w zapał.

Pomyślałem sobie w duchu. „Biedny Francuzie i biedna Francyo!" Jeżeli liczysz na obcą pomoc, a szczególniej na rosyjską, a nie poznałaś, że naród tylko na siebie liczyć może, gdy chce dopiąć jakiego celu, to w takim razie idea rewanżu nigdy się nie spełni. Oczywiście myśli tych nie wypowiedziałem głośno.

— Pan jesteś Polakiem — mówi Francuz dalej — i tem samem wrogiem Rosyi. Wiem, że wam Rosya wielką wyrządziła krzywdę, ale cóż to nas obchodzi; Rosya może krzywdzić kogo chce, byle nam dopomogła.

— Ze względu też na Rosyą — wasze dawniejsze sympatye dla nas znacznie upadły? — zapytałem.

— Niewątpliwie, odpowiada Francuz, kto nie jest przyjacielem Rosyi, ten i naszym być nie może. Ale was, Polaków, nie nienawidzimy wprost — nie — przecież pamiętamy, coście czynili dla Napoleona Bonapartego. Nie jestem ani rojalistą, ani bonapartystą, jestem republikaninem, ale nie mogę nie podziwiać naszego bohatera. — O! — pomimo, że jestem republikaninem, przyznaję, że potrzebny nam taki geniusz jak Bonaparte!

— O wierzę! — odrzekłem nie bez goryczy — pamiętając ilu naszych złudzeń wielki Korsykanin był przyczyną — ale Francya i bez niego jest wielką.

— O ma belle France! — mówi Francuz żywo, ale z żalem w głosie. — Wie pan, że ja sądzę, że i Słowianie, a więc i wy, Polacy, mimo wszystkich nieszczęść, macie wielką przed sobą przyszłość. My? Kto wie, co się z nami stanie. My jesteśmy słabi i zepsuci, a wszystko, co się dobrego u nas dzieje, dzieje się w imię i w nadziei rewanżu — ale gdy tego celu dopniemy — Francya będzie martwą. — My upadamy — jesteśmy w moralnej i fizycznej dekadencyi. Kultura nas zatruła! — My po spełnieniu dzieła zamrzemy.

— Za nadto czarno pan patrzysz. Przecież robicie ciągłe postępy w przemyśle, podnieśliście wojsko, wystawy wasze, co jedna to świetniejsza. To wszystko nie świadczy o waszym upadku.

— Prawda, ale to wszystko pozory; jest w tem naszem dźwiganiu się po klęsce z 70 roku coś podnieconego, coś sztucznego, a to długo potrwać nie może. My wymieramy w rzeczywistości — ubywająca liczba ludności nam to opowiada wyraźnie; a potem za nadto u nas rozkładowych żywiołów i za wiele egoizmu. Niema już u nas ani Thiersów, ani Gambettów — to co jest, to liche ich imitacye.

— A Faure?

— Hm! Kochany człowiek, ma dużo szczęścia. Car go nam uświęcił swoim pocałunkiem i uściśnieniem ręki. Faure po powrocie z Petersburga wyrośnie we Francyi na człowieka niezwykłej miary, ale niestety oprócz dobroci i charakteru — co u nas dużo dziś znaczy, bo charak-

---

zawszy wyrugowaną zanieść nazad do do alkierza pierzynę, spać się spokojnie układła, słuchając tylko chrapania pijanych, na sianie w pierwszej izbie zasypiających.

Rano ledwie godzina na dzień, już u mogiły kowalowej, za karczemką pana Sławki, zbierali się panowie szlachta, i wszystkiemi drogami do niej dążyli. Wysłany przodem jeden do wioski wojewody miał oznajmić, gdy pan Srzemski z zamku ruszy. Wszyscy szlachta rozłożyli się pod Bożą męką na trawie, siedzieli, gadali, śmiali się, i zajadali, co Bóg dał. Ranek był chłodny, ale pogodny, tylko wiatr dął przeraźliwy. Coraz to któren ze szlachty przybywał, i około dziewiętnastej godziny było ich już z pachołkami około stu koni, różnego wieku, wzrostu i twarzy i ubioru. Wpośród nich, jeszcze płomienny gniewem Kaptur w wczorajszym stroju, z szablą u pasa, dowodził. Wszyscy byli jak od święta ubrani, bo mieli mu dwór honorny składać, i chodziło im o pokazanie wojewodzie, co może szlachcic. Pan Marcin miał wielu przyjaciół, w jego osobie obrażona cała szlachta czuła się gniewną i żądała się pomścić.

O dwudziestej godzinie przybiegł wysłany chłopak na zdyszanym koniu, oznajmując, że wojewoda rusza z zamku we czterdzieści niespełna koni. Zaraz wszyscy na koń siedli, i droga zasiała się końmi i ludźmi, w dziwacznych barwach, postawach, ubiorach. Na czele orszaku jechał Kaptur, kręcąc dumnie wąsa. Za nim wszyscy przedniejsi ręce na szablach, czapki na bok, mina gęsta; dalej pachołki; było ich więcej sta koni, a poczet ten rozbiegłszy się po drodze, na oko znaczniejszym się jeszcze wydawał, niż był.

Ruszyli kłusem, właśnie na granicy pana Sławki ujrzeli tuman pyłu; uszykowali się porządniej i postępowali w milczeniu.

Wojewoda dumał siedząc w kolasie, gdy przeciw słońcu spojrzawszy, ujrzał coś czerniejącego w pyle na drodze. Sądził z początku, że to bydło z rosy pędzą, lecz przyłożywszy rękę do oczu i wpatrzywszy się dobrze, dojrzał piór u czapek, i koni i ludzkich twarzy. Coś go tknęło, i zaczął pytać komorników swych, coby to było.

— Kto to wie? — odpowiedział jeden — jacyś ludzie jadą!

— To wojsko, — rzekł wojewoda niespokojny — albo się mylę, albo że jest ze sto koni: — a nie widać czyjej kolasy w pośrodku:

— Nie panie! — Wybiegli komornicy naprzód i patrzyli.

— Szlachta gdzieś jedzie! — powiedzieli.

— Cóż to, że tak wolno jadą i prosto na nas? — pytał wojewoda jeszcze. Ale nikt mu nic nie odpowiedział. Nareszcie gdy już na staje od siebie byli, począł się Srzemski wpatrywać, i niby przypominać sobie twarz i strój wczorajszego w drodze spotkanego jeźdźca. Posłał więc komornika z zapytaniem do szlachty: ktoby byli, i czego żądali?

Wybiegł jeden konno, i dopadłszy pana Marcina, rzekł:

— Pan Srzemski, wojewoda płocki, zapytuje Waszmościów, ktobyście byli, i czyli czego od niego żądacie?

A Kaptur odpowiedział mu:

— Jam to — powiedz swemu wojewodzie — ów wczorajszy chłop, dam się dziś panu poznać, żem jemu równy, tylko nie senator.

Pobiegł nazad komornik z odpowiedzią, i doniósł ją panu wojewodzie.

Zastanowiła się kolasa, a wojewoda nieco pomięszany, wysłał jeszcze przedniejszych swego dworu, prosić pana Marcina Brzozowskiego, aby ku niemu przyjechał.

Ci przybywszy, mocno nalegali na Brzozowskiego, aby to uczynił.

— Albom ci to ja jego sługa, żeby mnie miał wołać? — odpowiedział — a kiedy mi chce co powiedzieć, niech tu sam podjedzie.

— Przecież — rzekł wojewodziński dworzanin — nie woła on Waszmość, ale go prosi, a to człek stary i senator.

terów dziś co raz mniej — niema w nim materyi na zbawcę ojczyzny, ani na wykonawcę woli ludu — a pan wiesz, czego lud pragnie. Ach! Tam jedzie król Siamu! Widzisz pan, jak wszyscy się do niego śmieją, a nawet mu się kłaniają, otóż tak jak po królu Siamu ci obecni niczego się spodziewać nie mogą, tak i my niczego nie spodziewamy się po Faurze, a jednak uśmiechamy się do niego, kłaniamy się mu. Ot proste przyzwyczajenie! Człowiek musi się czemuś kłaniać i do czegoś się uśmiechać — tłum pragnie mieć widomego reprezentanta swych pragnień i dążeń, jedni go widzą w prezydencie, inni w swym cesarzu lub księciu — a wy w czem go widzicie?

— My — w naszej miłości ojczyzny, którą nosimy w sercu!

— Szczęśliwsi wy od nas, mówi Francuz — adieu! *Gerwazy.*

Piosenka ludowa.

Piosenko! ptaszyno!
Gdzieś się kolebała,
Ześ bóle i smutki
Ludzkie podsłuchała?
Że umiesz wyśpiewać,
Co jest w sercu na dnie
I poznasz te myśli,
Których nikt nie zgadnie.

Piosenko! serdeczna —
Z jakiej też kądzieli
Twe srebrne niteczki
Uprzędli Anieli?
Bo snujesz się cudnie
Od ziemi do nieba,
I ludziom do szczęścia
Twej przędzy potrzeba.

Piosenko! czarowna —
Skąd ten urok w tobie?
Że wspomnień obrazy
Umiesz odbić w sobie —
Wszystko, co minęło
W twej nucie — odżyje —
A serce twą dumkę
Jak kwiat rosę pije.

Piosenko! sieroca...
Skądże farby twoje,
Malujesz cudowne
Obrazy i stroje...
I nad twoje kwiaty
Niema już piękniejszych,
A nad twoje skargi
Niema już smutniejszych.

Piosenko ty polska!
Skarbie nieprzebrany!...
Ty ducha nam wzmacniasz
Koisz krwawe rany,
Ty przyszłość kolebiesz,
I serce rozgrzewasz,
O wolności Polski
Śpiewasz: śpiewasz! śpiewasz!

Któż ciebie nie kocha!
O ludowa pieśni?
Któż z tobą pół życia
W zadumie nie prześni?
Dzwonią twoim echem
Gaje, łąki, pola...
Złącz serca **jednością!**
A zniknie — **niewola!**

O gazetach.

Rzecz
wygłoszona na wiecu w Bruch w Westfalii
przez *Witolda Leitgebra.*

(Dokończenie).

Myśmy świadomi naszego stanowiska w państwie pruskiem, świadomi naszych obowiązków dla państwa niemieckiego i nie ociągamy się w ich spełnianiu, ale i świadomi jesteśmy naszych praw narodowych opartych na przywilejach, zagwarantowanych nam reskryptem królewskim z roku 1815. Spełnienia ich zawsze domagać się będziemy, bronić ich nigdy nie przestaniemy, i każde wykroczenie niesłuszne cieniem niesprawiedliwości padnie w nasze dusze i światła zgody w nich nie wznieci.

Mimo ciągłych, a najniesłuszniejszych zaczepek zuchwałych figur rządowych, które tym łatwym sposobem zasługi u przełożonych swoich sobie skarbią, nie straciliśmy ani powagi, ani odwagi, ani równowagi, bo o naszej słuszności głęboko jesteśmy przekonani. Dopóki sfery rządowe uważać i odnośnie traktować nas będą za obywateli nietylko trzeciego, ale czwartego rzędu, dopóki opinia niemiecka z zaczepnej nie zmieni się w pokojową, dopóty o zgodnem działaniu nawet w sprawach codziennego życia mowy być nie może.

Dobrze zaznaczył to poseł Głębocki mówiąc:

„Jeżeli minister skarbu Miquel niedawno powiedział, że Polacy uważają państwo pruskie za wroga, to przecież ci, którzy tego rodzaju ustawy przeciw Polakom wydają, nie mają prawa skarżyć się na brak miłości z ich strony. Jesteśmy obowiązani wypełniać powinności nasze wobec państwa pruskiego, ale też nawzajem państwo ma obowiązek uszanowania praw naszych. Tego państwo nie czyni, więc też o przychylności dla tego państwa u nas mowy być nie może. Nasze obowiązki polegają nie na uczuciach, ale na faktach historycznych. Jeżeli się nam prawi o obowiązkach, to jest także obowiązkiem i powinnością państwa pruskiego umożliwiać nam pielęgnowanie i rozwój naszej, od Boga danej narodowości. Juścić nie wątpimy, że wniosek nasz będzie odrzucony, ale odrzucając go, bierzecie na siebie odpowiedzialność za skutki, tj. za wieczny niepokój w kraju. Narzucacie nam walkę: otóż walczyć będziemy z całą odwagą i z całym spokojem za nasze najświętsze prawa. Jesteśmy i pozostaniemy; nie wywędrujemy, ani też karków

---

— Znam ci go z wczorajszego — rzekł pan Marcin.

— Wczoraj pan wojewoda ani znał, ani się domyślał, kto Waszmość jesteś — dalej mówił wojewodziński — i pewnie go dziś za to sam przejedna.

— No jedź Waszmość, panie Marcinie — rzekł pan Sławek sam, i inni za nim. Zobaczysz Waszmość, co ci powie stary. Jedź bo jedź, toż cię nie zje!

— No! no! pojadę — wreszcie przebąknął Kaptur, tylko się boję, żeby mnie tam obcesowo złości, na niego spojrzawszy, nie porwały.

— E! probuj, pojedź! — szeptali za nim towarzysze.

— Co za dziw, to pojadę! — krzyknął Marcin, spiął konia, dał susa, i w kilku skokach stał już u wojewodzińskiej kolasy. Mimowolnie i pan Marcin miał się na widok wojewody do czapki, i wojewoda skłonił mu się grzecznie.

— Cóż mi to Waszmość za złe macie, żem Waszmość — rzekł wojewoda — wczoraj jakoby nie chcąc i nieznając obraził, nazwawszy *chłopem?*

— A tak — odpowiedział Marcin zapalając się, i po to dziś Waszmości drogę zachodzę, abym zapytał, co to znaczyło. Bo na Boga! taki-m dobry szlachcic, jak i Waszmość. Jestem Marcin Brzozowski, herbu Belina, zwany Kaptur; dziad mój był podkomorzym gostyńskim, brat mój jest opatem czerwieńskiem, jestem *nobilis* z dziadów i pradziadów, a jeśli nie ja, to moi herbowi zasiadali krzesła! A daleko ode mnie do chłopa, i dalej trochę, niż od wojewody do mnie!

— Widzę to i sam — odpowiedział wojewoda — i bardzo mi żal, żem Waszmość obraził, aleć się za to bić nie będziem. Niech tu panowie szlachta postąpią, a ja Waszmości przywrócę, com ujął.

Na znak pana Marcina podjechał orszak jego, i szumnie, gwarliwie kolasę otoczył. Wojewoda powstał i rzekł poważnie, uchylając czapki:

— Wczoraj nie chcąc obraziłem pana brata Marcina z Brzozowa Brzozowskiego, zowiąc go nieuważnie chłopem, ale to ciemność była temu przyczyną; zatem biorę Waszmościów za świadków, że się to stało nie chcąc i omyłką, i zwracam panu Marcinowi jego szlachecką cześć. Zaczem podał wojewoda rękę, a wszyscy czapki w górę rzucili, wołając:

— *Vivat! vivat palatinus plocensis! Vivat dominus Brzozovius! Vivant!*

Wojewoda znowu podniósł się i krzyknął:

— Vivant panowie szlachta mazowiecka! Proszę ze mną do zamku! Skinął na sługi, zawrócono konie, służba przodem pobiegła i powrócono do zamku.

Jak tam tego pili i krzyczeli cały dzień i całą noc, tego już opisywać nie będę, to tylko dodam, że pan wojewoda, podobawszy sobie śmiałość Marcina Kaptura i myśląc go użyć na sejmikach, naznaczył mu jurgielt roczny do swego życia, dał dożywociem chat kilka, obwarował sowicie, i chował odtąd w wielkiem na dworze swoim poszanowaniu. Siła też za to dokazywał pan Marcin, gdy o wojewodę chodziło, a gdy w obronie jego stanął, nikt się naprzeciw wyjść nie pokusił, bo był takiej siły ten Kaptur Brzozowski, żeby się był z Brudzińskim, ba i z Wiesiołowskim, gotów był dążać, a choćby i z Dobkiem z Oleśnicy, gdyby ten jeszcze żył. Nieraz gdy go uproszono, albo w zakład poszedłszy, wziął beczkę piwa na ramię, i z nią tańcował, a potem pił z niej, za brzeg wziąwszy, jak ze szklanki.

To o nim pisze Bartosz Paprocki.

Karmelki napełniane. — Cukry na sposób warszawski. — Czekolady i czekoladki szwajcarskie i paryzkie
Bombonierki paryzkie. — Torty najrozmaitsze.
Przesyłki uskuteczniam odwrotnie *franko do każdej stacyi pocztowej.*
A. W. ŻUROMSKI, Cukiernia, fabryka cukrów i czekolady.

nie ugniemy, jak niegdyś ugięto karków pielgrzymując do Kanossy".

Wiara i narodowość nasza jest dziś zagrożona: Socyalizm jak widmo straszliwe unosi się nad nami i wszędzie potrząsa czerwoną chustą, a głowę stroi w krwawe wieńce. Socyaliści coraz liczniej wysyłają w tutejsze strony swych ajentów, którzy usiłują pozyskać robotników i walkę narodową przerobić na klasową, wysuwając naprzód sprawy zarobkowe i stawiając je ponad wszystkie inne. Fałszywa ta nauka znajduje niestety poparcie w agitacyi antypolskiej rządu, który tak zasmakował w pracy germanizatorskiej, że nie zważając czemu i dla czego bezustannie z nami wojuje, byle tylko „ausrotten". Zapomina przytem że odstępcy tacy, jeżeli się znajdą, powiększają liczbę socyalistów —wrogów monarchii. Posłowie polscy powinni w tej sprawie w sejmie się odezwać, byłoby dobrze także przypomnieć przy danej sposobności, jak to p. Studt, prezes naczelny Westfalii, tak gorliwie starał się przez władzę biskupią w Paderbornie o skasowanie „Wiarusa", chociaż policya sama przyznaje, że bez tej gazety i wogóle bez pism polskich nie zdołanoby zapobiedz rozkrzewieniu się socyalizmu wśród Polaków w Westfalii, gdzie porządek społeczny zupełnie jest podminowany, a gdzie go wśród Polaków utrzymują tylko pisma i towarzystwa polskie. Niechże rząd będzie ostrożniejszy z ogniem i zamiast wojować przeciw gazetom polskim, niech im da lepiej szersze pole działania, niech uzna w nich sprzymierzeńców w walce, w której socyalizm zyzem patrzy na koronowane głowy.

Oby głos mój echem zabrzmiał u stopni tronu, oby raz przecież nastąpił przełom w panujących zapatrywaniach, oby rząd uznał nasze słuszne żale i skargi, i dopóki czas, pospieszył naprawić błędy i zło, bo obosiecznym mieczem wojuje, a przecież w biblii, na której rząd tak często się opiera, stoi napisane: „jaką kto bronią wojuje od takiej też zginie".

Nas nie ulękną czcze krzyki „naszych najserdeczniejszych", do których członków bractwa HKT. w pierwszym rzędzie zaliczamy, oparte na fałszach, wylęgłych w mózgach skażonych szowinizmem, a którym koła rządowe niestety zbyt pohopnie dają wiarę. My nadal pójdziemy szerokim, jasnym gościńcem naszych przekonań, odtąd gorliwiej popierać będziemy pisma polskie, pilniej je czytywać, energiczniej za pomocą ich działać.

A i tu jeszcze będziemy rozróżniać i popierać nie te pisma, które kłódki pozawieszały sobie na ustach i milczeniem sankcyonują niesprawiedliwość, lub które bałamutną obroną strojną w wyblakłe wieńce nadziei zalecają pokorę i cierpliwość, ale te, które z oczu nie straciły ani przyszłości, ani przeszłości naszej i których hasłem, tak postępować, aby postępowanie to mogło być przyjęte dla wszystkich.

Jeżeli wywody moje trafiły Wam do przekonania, Szan. Czytelnicy — a mówiłem co mi sumienie nakazywało — to niech one odniosą ten skutek, że każdy z Was i sam zaabonuje gazetę i innych do ich abonowania oraz czytania będzie zachęcał.

Abonowanie gazet polskich nietylko jest normalnem zaspokojeniem swych potrzeb, nietylko zdobywaniem w najzwyklejszy sposób tego, co człowiekowi tak samo powinno być do życia potrzebne jak inne rzeczy, na które pracujemy — ale jest także podatkiem na rzecz rowoju piśmiennictwa narodowego, na rzecz dobra publicznego, podatkiem, od którego nie jest zwolniony żaden myślący obywatel.

Tu muszę zwrócić uwagę na przyczyniający się do upadku naszej prasy fakt, mianowicie na to, że ludzie należący do klas oświeconych stosunkowo mniej niż inni przywykli wydawać na drukowane słowo. Wskazać takiemu „obywatelowi", że prasa polska upadnie, że umysłowość polska ulegnie zanikowi, to odpowie, że społeczeństwo stoi nie na „filontropii", ale na racyonalnej ekonomii i — idzie ręka w rękę z czynownikami. Takie bywają skutki „trzeźwej" propagandy politycznej.

Dowiedzioną rzeczą jest, że zarówno prasa, jak literatura, zamało jest popierana przez społeczeństwo i to upadek jej przyspiesza. Dwie, trzy marki wydać np. na nowe rękawiczki, w mig umiemy; markę zapłacić za gazetę sprawia nam niesmak. Inteligencya nasza zamało także uświadamia sobie ogrom krzywdy, wyrządzonej sprawie rozwoju umysłowości narodowej przez niepotrzebne w większości wypadków korzystanie z obcych pism i książek zamiast ze swoich. Temu zawdzięczamy masę pism niemieckich zalewających domy polskie. Ogół nasz nie rozumie dostatecznie tego, że ci, co oszczędności swoje zaczynają od zmniejszenia wydatków na książki i gazety, i jeszcze więcej ci, którzy zamiast polskich książek i pism kupują książki obce (niemam tu na myśli tylko niemieckie wydawnictwa) i prenumerują pisma obce, pracują wespół z wrogami nad upadkiem naszej umysłowości. W ważnej niezmiernie dziedzinie życia odbywa się tu coś w rodzaju samobójstwa narodowego.

Jeżeli społeczeństwo chce, żeby zastój umysłowy, bezmyślność polityczna, niedomagania społeczne itd. itd. ustąpiły zdrowemu rozwojowi naszego bytu, jeżeli chce, żeby oświata coraz szerszem rozlewała się strumieniem w naród, żeby wychodziło coraz więcej dobrych książek, tanich gazet, powinna każda rodzina, każdy dom mieć kąt tak na książki, jak na gazety polskie, a wydatki każdego obywatela — pozycyę na drukowane słowo.

Gdyby to było w mej mocy, przeszedłbym całą ziemię wzdłuż i w szerz, od wsi do wsi, od miasta do miasta, dotarłbym wszędzie, gdzie tylko rozlegają się dźwięki polskiej mowy i wszędzie wołałbym:

Abonujcie i czytajcie gazety polskie!

Przedruk wzbroniony.

ESTERA.

Komedya romantyczna w 3 aktach ze śpiewami, napisana dla „PRACY"

przez

Feliksa Bobowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena III.

Wojtek i Pomorski.

POMORSKI

(posiwiały, poważny 60-letni mężczyzna, z dystyngowanemi ruchami, elegancko ubrany)

A co ty tu robisz Wojtku?

WOJTEK.

Jo... jo o dolibóg kochum się w cyganicy.

POMORSKI.

Co pleciesz? Czy nie widziałeś pana Alfreda?

WOJTEK.

Pon Alfred, jasny panicz.. się utopiuł.

POMORSKI.

Gdzie?

WOJTEK.

W cygance.. o hoho!

POMORSKI.

Dowiedz się tu co od głupca.

WOJTEK.

W tej samej, co ja, jasny panie!

POMORSKI.

Powiedz durniu, czyś go nie widział?

WOJTEK.

Właśnie jak się topiuł, jasny panie.

POMORSKI (uśmiechając się).

Toś go mógł ratować.

WOJTEK.

Ba, kiedy i jo się wtenczos topiułem.

POMORSKI.

A ty się nie utopiłeś?

WOJTEK.

Oboje.. ohoho.

POMORSKI (biegnie ku niemu).

WOJTEK (ucieka, wołając ohoho!)

Scena IV.

Pomorski sam.

POMORSKI (siada na kamieniu).

Właśnie chciałem z nim pomówić o Wosińskich. Panna co się zowie, ród dobry, stary, posag jaki taki. Chłopak też już 26 ty rok kończy, czas, aby pomyśleć o usłaniu gniazda rodzinnego dla niego, póki mu inna nie wpadnie w oczy, która by się mnie nie podobała. — Ale gdzież on się podział? Dobre 3 godziny, jak wyjechał konno. Czyżby ten głupi Wojtek miał mieć coś racyi w swych bredniach... może tu jaki staw lud nazywa „cyganką". (wyciąga piszczałkę i gwiżdże).

Scena V.

Pomorski i Kaszuba.

KASZUBA

(wchodzi ubrany w długie buty, w kurtę do jazdy konnej, z batogiem w ręku).

Do usług jaśnie pana.

POMORSKI.

Czy jest tu w okolicy jaki strumyk, lub staw, który ludzie zowią cyganką?

KASZUBA (na stronie).

Dziwne pytanie — właśnie dzisiaj. (głos) Nie, proszę...

POMORSKI.

Napewne?

KASZUBA.

Napewne.

POMORSKI.

Nie widziałeś pan pana Alfreda?

KASZUBA.

Nie, od czasu, gdy wyjechał rano. (na stronie). Widocznie domyśla się czegoś.

POMORSKI.

Ot zaraz wiedziałem, że to czcza paplanina i nic więcej.

KASZUBA (na stronie).

Paplanina? więc mieliby już mówić o tem?

POMORSKI.

Co pan mówisz?

KASZUBA.

Daruj mi pan hrabia! W zamiarze oszczędzenia Mu nieprzyjemności chciałem to całe zajście zataić, lecz widząc, że pan hrabia także wie już o tem...

POMORSKI.

Więc jednak prawda, że syna mego spotkało nieszczęście?

KASZUBA (na stronie).

A tom się zbajał. (głośno) Nic, nic... to jest — widziałem młodego pana najpierw rozmawiającego z cyganką, śliczną jak posąg, a potem goniącego za nią.

POMORSKI.

Co mój syn za cyganką? Kłamstwo!

KASZUBA.

Niestety prawda.

POMORSKI (do siebie).

Utopił się w cygance... teraz rozumiem słowa tego półgłupka, Wojtka. (głośno) Opowiedz pan, jak to było.

KASZUBA.

Tego nie jestem w stanie. Widziałem tylko z ruchów, pan Alfred tu w tem miejscu starał się zatrzymać ową cygankę, a gdy ta nie przystała i uciekła, pogonił za nią.

POMORSKI.

I pan patrzałeś na to, nic nie czyniąc?

KASZUBA.

Nie śmiałem, panie hrabio...

POMORSKI.

Głupstwo! Powinieneś pan był wypędzić oszustkę na krańce świata, bo pomyśl, gdy się świat o tem dowie.

KASZUBA.

Sądziłem zresztą, że pan Alfred może żartował tylko, jak to z cyganką.

POMORSKI.

I gdzież teraz jest Alfred?

KASZUBA.

Tego nie wiem, jaśnie panie.

(Alfred ukazuje się zdyszany z prawej strony, chce wnijść i cofa się niespostrzeżony).

POMORSKI.

Gdzieś go pan widział w końcu?

KASZUBA.

Widziałem go, gdy w drodze do tego lasu dobiegł cyganki i wszczął z nią rozmowę.

POMORSKI.

Dobiegł jej i...

KASZUBA.

Tak...

POMORSKI.

Więc syn mój chyba w tej cygance..

KASZUBA.

Jest zakochany.

POMORSKI (ze złością).

Wypędzić tę bandę, wysiec, wytępić! Mój syn zakochany w cygance! O zgrozo! W tej chwili pogonić do lasu, z całym dworem, a kto będzie oszczędzał tej bandy, tego ja oszczędzać nie będę.

KASZUBA.

Możeby lepiej bez rozgłosu, toć pan Alfred wróci, a potem...

POMORSKI.

Ja rozkazuję!

KASZUBA.

Do usług (chce wychodzić na prawo, Alfred wchodzi z lewej strony).

Scena VI.

Ciż i Alfred.

ALFRED

(wpada z rozwianym włosem, zdyszony, zmieszany)

Zbyteczne, zbyteczne! Ojcze, nie unoś się, sami oni to miejsce opuszczą.

POMORSKI (odpycha go).

Niegodny!...

ALFRED.

Ojcze, gdybyś... (do Kaszuby) Panie Kaszuba, racz się oddalić.

KASZUBA (kłaniając się, wychodzi).

Scena VII.

Pomorski i Alfred.

ALFRED.

Ojcze, gdybyś ją znał... gdybyś.,.

POMORSKI.

Nie wspominaj mi o tem! Niegodny! Pomorski skandal z cyganką! Tak to strzeżesz herbu twego?

ALFRED.

A jakiż to skandal, ojcze?

POMORSKI.

Wstydem okryłeś nazwisko i..: i...

ALFRED.

Dla tego, żem pokochał ubogą dziewczynę?

POMORSKI:

Ubogą dziewczynę.. cygankę!?

ALFRED.

O! gdybyś wiedział, jakie wzniosłe serce, jaką szlachetną duszę ma ta cyganka!

POMORSKI.

Szlachetna dusza w cygance?!

ALFRED.

Czyż to jest niemożebnem?

POMORSKI.

O Alfredzie, tegom się nigdy po tobie nie spodziewał.

ALFRED.

Ojcze, ja ją kocham!

POMORSKI.

Więc tak słodzisz ostatnie chwile mego życia?

ALFRED.

Ach ojcze, gdybyś widział, z jakiem poświęceniem opuszczała to miejsce, uznając się niegodną mnie, gdybyś widział, gdybyś był świadkiem sceny, gdy ja błagałem usilnie, aby została, sądząc, że dasz się nakłonić i zezwolisz na nasz związek, a ona wolała poświęcić miłość swą i uciec, błagając, abym o niej zapomniał. Tydzień tylko widywaliśmy się, ale w tym krótkim czasie pokochałem ją tak gorąco, że miłości tej nie wykorzenię nigdy. Ach, jak świetne sobie układałem plany, sądziłem, że pozwolisz ojcze, damy ją wykształcić, a potem...

POMORSKI.

Więc śmiałeś się pieścić nadzieją, że ja kiedyś pozwolę na związek twój z cyganką.

ALFRED.

Jeżeli ją kocham, kocham całem sercem! Czyż miłość pyta o różnicę stanu?

POMORSKI.

Mrzonki!

ALFRED.

O, to nie mrzonki, widziałem wszakże już tyle panienek, lecz ani iskierki przywiązania do żadnej nie poczułem.

POMORSKI.

I to się znajdzie.

ALFRED.

Nie ojcze.

POMORSKI.

Niema o czem mówić. O ważniejszej chciałem z tobą pomówić rzeczy, lecz jestem nadto zirytowany, jutro pomówimy o tem. Staraj się ochłonąć z wrażeń dnia dzisiajszego i proszę oszczędzaj mi zmartwień na me stare lata. Na szczęście o całej tej historyi prócz Kaszuby nikt nie wie.

ALFRED (całując go w rękę).

Zawsze starałem się być pociechą dla ciebie, ale...

POMORSKI.

Ale?

ALFRED.

Kochasz mnie szczerze ojcze?

POMORSKI.

Czy wątpisz o tem?

ALFRED.

I czy nie byłbym ci zarówno drogim, będąc ubogim?

POMORSKI.

Zapewne mój synu.

ALFRED.

A więc, jeśli ja Esterę... to jest ową cygankę kocham miłością, na jaką tylko zdobyć się mogę, mam się tej miłości wyrzec, dlatego, że jest ubogą?

POMORSKI.

Proszę cię, nie wspominaj mi o tem. To szał... minie i będzie dobrze. Chciałem pomówić z tobą o Jadwidze Wosińskiej.

ALFRED.

W jakim celu, proszę cię...

POMORSKI.

Powinieneś się był dawno domyślić, że najgorętszem mem pragnieniem mieć ją za synową.

ALFRED.

Chciałbyś więc...

POMORSKI.

Tak chciałbym, ale pomówimy o tem jutro, dziś jesteśmy oboje zanadto wzruszeni.

ALFRED.

Ojcze! nigdy nie zdecyduję się poślubić kobiety, której nie kocham. — Cóż mi znaczy majątek, nazwisko, jeżeli nie ma miłości?! Czy sądzisz, że bogactwo uczyni mnie szczęśliwym?

POMORSKI.

Miłość się później znajdzie.

ALFRED.

Nie, nie, nie znajdzie się. Oszczędź Ojcze sobie i mnie zmartwień i nie rozpoczynaj z panną Wosińską. Nie udzielisz zezwolenia do poślubienia Estery, niechże wola ojcowska świętą będzie, lecz nie żądaj odemnie, abym kochając ją tak usilnie, zaślubił kiedykolwiek inną kobietę, czyniąc ją i siebie przez to nieszczęśliwymi na całe życie.

POMORSKI.

Pomówimy o tem jutro. — Czy pójdziesz teraz ze mną?

ALFRED.

Nie, chciałbym tu jeszcze pozostać chwilę.

POMORSKI.

Dobrze, do widzenia zatem (wychodzi).

ALFRED.

Do widzenia!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W którym wieku podobają się mężczyzni najbardziej kobietom, kiedy kobieta starzeje się i jak zachowują się zakochani w chwili oświadczyn?

Czasopismo angielskie „*The Idler*“ wpadło na oryginalny pomysł zapytania swych czytelniczek, w którym wieku mężczyzni podobają się najbardziej kobietom

Córy Albionu nadesłały redakcyi odpowiedzi w obfitości.

Jeżeli mężczyzna chce liczyć na skutek spodobania się Angielce, musi liczyć najmniej lat 30, a nie być starszym nad lat 45. Przedtem, tak pisze miss Emma Keddle, „nie może mężczyzna z kobietą rzeczywiście się porozumieć, a potem może co najwięcej podobać się tylko jednej jedynej kobiecie, jeżeli nie wróci jako strudzony, zblazowany i rozczarowany do swego kawalerskiego namiotu. Atoli pomiędzy 30 i 45 latami wywiera mężczyzna na kobiety każdego wieku czar niezwykły. Pozbył on się wtedy zarozumiałości młodzików, uznających z pogardą niższość rodu żeńskiego“.

Podobną opinią wydaje inna młoda dama, miss Arabella Kenealy. „Siła charakteru i energia — pisze Kenealy — są przymioty męskie, wywierające niepohamowaną magnetyczność“ na kobiety; przymiotów tych brak ludziom, którzy nie przekroczyli jeszcze pierwszego okresu młodości“. Pewna dama, kryjąca się pod anonimem miss Clorindy, a zdradzająca swój wiek przez to, iż oświadcza, że się już w żadne nie bawi iluzye, wydaje opinią, że kobieta t. j. stworzenie niewieście, która dźwiga na swych barkach trzeci krzyżyk, może się jeszcze na każdy przypadek pokochać w dwudziestoletnim młodziku i znaleść w nim tak samo miłego towarzysza jak w silnym, pięknym i wielkim psie. Ale zwykle przenosić będzie nad młodzika mężczyznę, który już przekroczył czterdziestkę, gdyż znajdzie w nim współtowarzysza, z którym świat przez jedno i to samo okno obserwować może.

Czytelniczki „*Idlera*“ nie zdają się łożyć wiele znaczenia na zmiany zewnętrzne, zachodzące u mężczyzn z latami. „Sama piękność mężczyzny“, tak pisze mrs. Lyna Lynton, „nie zjednywa sobie nigdy względów u kobiet. Jeżeli braknie rozumu i charakteru, wtedy piękność ciała nie wywiera na nas wpływu“. Inna dama potęguje swe twierdzenie nawet za daleko, pisząc, iż piękność u mężczyzny dochodzi z wiekiem do największego czaru.

Kto chce uzyskać względy kobiece, musi zważać na to, by nie nosił za długiej i za gęstej brody. Kto za młodu nosi pełny zarost, zdradza przez to skłonność niebezpieczną do zawczesnej powagi. „Zupełnie młody człowiek, który wcześnie zapuszcza brodę“, mówi miss Ewelina Sharp, „okazuje nadzwyczajną skłonność do tego, by zestarzał przedwcześnie“.

Rozpoczynający swą karyerę Don Juan nie powinien zbyt troszczyć się o swe zdrowie. Kto się nie odważy jeść lodów po południu, bo to atakuje jego żołądek i psuje mu apetyt na kolacyą, kto się obawia usieść na trawie, albo zaziębienia przy zejściu z koła, ten w oczach miss Sharp jest rzeczywistym starcem, choćby był jeszcze młodzieńcem.

Na tę ważną okoliczność należy zwrócić uwagę, że wszystkie piękności angielskie, które swe opinie przysłały „*Idlerowi*“ lat trzydzieści co najmniej przekroczyły i że dla tego dla mężczyzn młodszych mało miały sympatyi.

A teraz przyglądając się odwrotnej strony medalu, zapytujemy, kiedy kobieta starzeje się?

Jeden z dzienników berlińskich rozesłał zapytanie powyższe do wybitniejszych literatek i artystek. Oto niektóre odpowiedzi: „Kobieta staje się starą, gdy straci człowieka, któremu poświęciła ostatnią, a więc najpotężniejszą miłość. Ida Boy Ed.“ — „Kiedy kobieta jest już starą? Wtedy, gdy ją otoczenie za taką uważa. Jadwiga Dohm“. — „Kobieta jest starą, gdy sama ma się za taką. Wilhelmina Hillern“. — „Na zapytanie, na szczęście, nie mogę dać z własnego doświadczenia odpowiedzi. Mam jednak mamę, którą wszyscy biorą za moją siostrę. Otóż, patrząc na tę kobietę, którą możnaby nazwać starą, dochodzę do przekonania, iż kobieta odznaczająca się świeżością umysłu i dobrocią serca, nie starzeje się nigdy. Pepi Glöckner“. — „Dopóki kobieta wierzy w swoją młodość, sprawia wrażenie młodej, choćby nawet nią nie była. Marya Pospiszil“. — „Kobieta starzeje się, gdy zaczyna kochać rozsądek. — Marya Resenhofer“. — „Gdym miała lat 17 (20 lat temu), nazywałam każdą kobietę 40letnią „starem pudłem“. Dziś, proszę mi wierzyć, zmieniły się moje przekonania pod tym względem. Czyż wobec tego mogę odpowiedzieć na zapytanie szczerze? Małgorzata Tondeur“. — „Kiedy kobieta starzeje się? Próżna nigdy, nieszczęśliwa zawcześnie, mądra w czasie właściwym. Klara Ziegler“.

W końcu jeszcze słów kilka o oświadczynach miłosnych czyli o sposobie zachowania się zakochanych w chwili oświadczyn. W sprawie tej pewien humorysta angielski zebrał następujące ciekawe dane statystyczne:

W tej krytycznej chwili na 100 mężczyzn 30 bierze swoją lubą w objęcia, 67 składa na jej ustach gorący pocałunek, 4 całuje włosy lub policzki, a 2 zadawalnia się uściskiem dłoni. Co najmniej 72 przyciska rękę lubej do bijącego serca, 14 z trudem słowa przeciskają się przez gardło, 9 głęboko wzdycha, 7 na 100 oświadczają, że są najszczęśliwsi pod słońcem, 2 pada na kolana, 10 po kilkakroć otwiera i zamyka usta, zanim się zdecyduje na przejście Rubikonu.

Co się tyczy zachowania się kobiet w chwili oświadczyn, to na 100 pięknych istot 81 bezwładnie pada w objęcia mężczyzny, 68 kryje zarumienione twarzyczki przy ramionach ukochanego, a najwyżej jedna z wzruszenia pada na fotel lub krzesło, 6 na 100 roni ciche łzy szczęścia, a 44 wybucha głośnym płaczem, 4 na 100 są w istocie niespodziewanie zaskoczone przez oświadczyny, 80 przewiduje to doskonale szepcąc: „ach! stało się to tak nagle“, 60 na 100 patrzy się wzrokiem miłosnym na ukochanego, a zaledwie jedna biegnie co prędzej podzielić się wiadomością z jakiem współczującem jej sercem. Słowa: „pomów pan z moją mamą“ obecnie są już anachronizmem.

WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK.

Wlazł kotek na płotek i mruga,
Piękna to piosneczka, nie długa!

Nad srebrnym ruczajem u wzgórza,
Gdzie brzoza pochyla się biała,
Zosienka tak piękna, jak róża,
Na chłopca za płotkiem mrugała.
Niby to szukała stokrotek,
Gdzie srebrna przewija się struga,
Lecz oczka jej biegły za płotek:
Wlazł kotek na płotek i mruga!

A chłopiec, a piękny, a hoży!
Wzrok jego do głębi przenika,
Na licu mu igra blask zorzy,
I patrzy, i kręci wąsika.
Na rozkaz tak ślicznych szczebiotek
Wszak każdy posłuszny, jak sługa, —
Więc chłopiec przesadza opłotek...
Wlazł kotek na płotek i mruga.

Już przy niej, już gwarzy i ściska!
Ej, z chłopca to istna pokusa...
— „Daj pokój, bo patrzą ludziska,
„Daj pokój!...“ — Ba ukradł całusa!
— „To cały kot z niego, nie kotek,
„Lecz ze mną rozprawa nie długa:
„A ruszaj-że sobie za płotek!...“
Wlazł kotek na płotek i mruga.

I poszedł, skąd przyszedł chopczyna...
A czemu kradł całus, jak złodziej?
Ba, ale figlarna dziewczyna,
Jak dawniej na wzgórze przychodzi.
I niby to szuka stokrotek,
Gdzie srebrna przewija się struga,
Lecz oczka jej biegną za płotek...
Wlazł kotek na płotek i mruga!

Wł. Bełza.

Rozmaitości.

Stracenie Angiolilla. D. 21. z. m. stracono anarchistę Włocha Angiolillo, który w dniu 8 bm. trzema wystrzałami z rewolweru zabił prezesa ministrów hiszpańskich, don Antonia Capovas del Castillo, wraz z rodziną spędzającego lato w kąpielach Santa Agueda, położonych niedaleko miasta San-Sebastiano.

Ujęty na miejscu zbrodni morderca pomieszczony został w więzieniu w Vergarze, w celi 3 metry szerokiej, 5 metrów długiej. Więzienie otoczono liczną strażą, drzwi celi w dzień i w nocy stały otworem, a dwaj żandarmi nie spuszczali z oka więźnia.

Angiolillo zachowywał się spokojnie i obojętnie. Gdy przybyli ajenci policyjni francuscy, angielscy i hiszpańscy, aby obejrzeć mordercę, porównać go z fotografiami, jakie posiadali, i zdjąć ostatnią fotografię, więzień zażądał, aby mu dano czysty kołnierzyk, krawat i okulary, gdyż te przedmioty zginęły mu w chwili spełnienia zbrodni. »Chcę aby mój wizerunek nie był karykaturą« — rzekł i ciekawie dowiadywał się, jak wypadła fotografia.

Sprawa trwała krótko. W przeciągu niespełna dwóch tygodni odbył się sąd wojenny, skazujący mordercę na śmierć. Termin wykonania wyroku naznaczono na sobotę, d. 21-go Sierpnia.

Noc ostatnią Angiolillo spędził prawie bezsennie, pijąc czarną kawę i paląc cygara. Napróżno księża usiłowali skłonić skazanego do spowiedzi i pokuty — pozostał niewzruszony. O godzinie 8-ej zrana Angiolillo wstał spokojnie z łoża, umył się, a lekarz więzienny stwierdził, że puls więźnia jest najzupełniej normalny — uderzał 70 razy na minutę. Poprosił o szklankę czekolady, wypił ją duszkiem; w godzinę później przyniesiono mu filiżankę buljonu.

O godzinie 9-ej wręczono mu list od matki. Przeczytał go z uwagą, nieco wzruszony, i, zasiadłszy do stołu, napisał kilka wierszy w odpowiedzi. Następnie wręczył list matki dyrektorowi więzienia, prosząc, aby papier pochowano razem z nim.

Gdy nadeszła godzina egzekucyi, zapytano po raz ostatni Agiolilla, czy zechce się wyspowiadać. Odmówił. Kat wszedł do celi, prosząc według zwyczaju, skazanego o przebaczenie, tłumacząc, że jest tylko wykonawcą prawa. An-

giolillo skinął mu głową i bez oporu pozwolił włożyć na siebie odzież i czapkę kwadratową skazańców. Ujrzawszy na czapce znak krzyża, żywo zaprotestował, żądając, aby mu czapkę włożono stroną odwrotną.

Pewnym krokiem, nie podtrzymywany przez nikogo, skazany przybył do podnóża szafotu, spokojnie rzucił wzrokiem na obecnych, podziękował swojemu obrońcy, po 24-ch schodkach wszedł na garotę i bez asystencyi kata usiadł na ławie. Tam poprosił o pozwolenie wypowiedzenia jednego słowa. Pozwolono mu, a on krzyknął: »Germinal!«

Bez żadnego wzruszenia pozwolił na przywiązanie nóg do ławy, a pleców do słupa. Kat wsunął na szyję Angiolilla żelazną obręcz i w mgnieniu oka ścisnął garotę. Ciało drgnęło rzutem konwulsyjnym, głowa zwisła na prawem ramieniu.

Lekarz więzienny stwierdził śmierć natychmiastową.

Ciało delikwenta pozostało na szafocie do zachodu słońca, a potem pochowano je na cmentarzu Vergary.

Złote myśli.

Jeśli wcześnie człowiek swych namiętności nie zwalczy, to później zwalczą one człowieka.

Ten staje się przyjacielem, kto się przed naszem nieszczęściem nie cofa.

Siedlisko pychy, tej nieśmiertelnej choroby duszy, znajdzie się w głowie, a lekarstwo na nią w sercu.

Dopiero w starości człowiek widzi, jaką przebył młodość.

Wiadomości.

Proces prasowy polityczny, wytoczony dr. Witołdowi Skarzyńskiemu ze Spławia przez prokuratoryą, jako autorowi broszury p. t. „Nasza sprawa“, w której dopatrzono się obrazy ministerstwa pruskiego, poniżenia urządzeń państwowych i rozgłaszania o tychże urządzeniach fałszywych wieści, toczył się przed izbą karną feryjną sądu ziemiańskiego w Poznaniu w d. 31 z. m. i zakończył się wieczorem. Oskarżony sam się bronił; obrona była świetna. Pan dr. S. wskazywał w swej obronie na to, że nie obraza rządu, nie piętnowanie postępowania wrogiego narodowi polskiemu plemienia, nie zohydzanie, tylko wyświecenie prawdy historycznej *„naszej sprawy pod zaborem pruskim“* było celem jego broszury. Zamiar obrażania rządu pruskiego był mu też zupełnie obcy. Chodziło mu tylko o historyczno-naukowe stwierdzenie tego, co się dzieje.

Tak w audytoryum, jak też na sali sądowej zgromadziła się liczna publiczność: widzieliśmy wielu prawników i wielu obywateli ziemskich, a wśród nich zasłużonego Patrona Kółek włościańskich, p. Maksymiliana Jackowskiego i posła i mecenasa p. dr. Dziembowskiego. Między sprawozdawcami do gazet był także reporter przybyły z Berlina; nawet poznańskie biuro hakatystów wydelegowało swego sprawozdawcę na salę sądową. Przybyło także wielu Niemców na wysłuchy, wogóle procesem zainteresowali się bardzo tak Polacy, jak też i Niemcy.

Kolegium sądowe, któremu przewodniczył dyrektor sądu ziemiańskiego, pan Raemisch, a w ktorego gronie zasiadał także radzca sądu ziemiańskiego, p. Sławski, skazało po dwugodzinnych obradach dr. Skarzyńskiego na 300 mrk. kary pieniężnej względnie na 30 dni więzienia, zatwierdziło konfiskatę broszury i zawyrowało ogłoszenie tenoru wyroku w „Dzienniku Poznańskim“ i w „Kuryerze Poznańskim“, oraz w 5-ciu gazetach niemieckich.

Prokurator wniósł o 500 marek kary pieniężnej względnie o 50 dni więzienia.

Kupcy poznańscy zamierzają podjąć akcyą zbiorową w obronie samodzielnego kupiectwa w Poznaniu przed konsumcyjnemi Związkami urzędników.

Grunt przy ul. św. Marcina l. 30, hotel »Deutsches Haus« nabył od p. Grätza za 98,500 marek rzeźnik p. Scholz.

„Landbank“ hakatystów nabył w tych dniach folwark Leonardowo w powiecie wągrowieckim. Dotychczasowym właścicielem folwarku tego był pan Mengel w Damasławku. — »Landbank« ogłasza w swojem sprawozdaniu, iż kupił aż do końca 1896 roku 15 dóbr, obszaru 67,950 mórg, z których już 24,000 mórg rozparcelował. Chwali się »Landbank« w swojem sprawozdaniu, że zarobił w jednym roku 356,507 mk. i że dał swoim akcyonaryuszom 7 procent dywidendy.

Bractwo kwestarskie w Poznaniu przyjmuje wszelkie odpadki, jako to: starą odzież, bieliznę, obuwie, kapelusze, rękawiczki, korki, stalki, żelaztwo i inne odpadki z metalu, czubki od cygar, szkło całe i potłuczone, pudełka od cygar i papierosów, kapsulki od butelek, papier, makulaturę, kości itp. — Dochód zyskany ze sprzedaży odpadków przeznaczony na żłóbki dziecięce.

Stęszewo. Wskutek panującej u bydła zarazy racic i pyska odłożono jarmark z 31go bm. na dzień 21go września.

Szamotuły. Jarmark w mieście naszem naznaczony na 5go października, przełożony został z powodu przypadających w tym czasie świąt żydowskich, na 30go września.

Gniezno. Kamienicę na Nowem Mieście, należącą do p. Maryi Gerlach, kupił na subhaście właściciel mleczarni p. Wachtel za 34,800 marek.

Ostrów. Grunt przy ul. Kaliskiej, należący do mistrza rzeźnickiego p. Spychałowicza, nabył za 27,000 mk. siodlarz p. Chrósiński.

Wągrówiec. Fabrykę machin, której właścicielami byli dotychczas panowie Liska i Jurek pod firmą »A. Liska & Jurek«, nabył na własność wspólnik dawniejszej firmy, pan Władysław Jurek i nadal ją pod firmą »W. Jurek« prowadzić będzie.

Września. Na odbytem tutaj zebraniu akcyonaryuszów cukrowni dowiedziano się z przedłożonego sprawozdania, że dokonane powiększenie cukrowni nie przyniosło spodziewanych korzyści, bo okazały się rozmaite częste braki i niedomagania w urządzeniu przybudowania. Przerobiono ogółem 1 mil. 600,000 centn. buraków, z czego wyrobiono 165,000 cent. I i 24,551 II gatunku cukru. Koszta powiększenia wynoszą 608,000 mk.

Śrem. Nieruchomość p. Gąsiorowskiego wystawiona na subhastę przeszła w ręce niemieckie za cenę 16,100 marek — nabył takową jakiś exwojskowy, który zamyśla urządzić tam ogród ludowy.

Inowrocław. Cegielnią Langnera nabył niejaki Robert Aron z Bydgoszczy za 51,000 marek.

Gołańcz. Gospodarz Buzorek w Morakowie sprzedał swą posiadłość, obejmującą 20 mórg obszaru, za 5100 marek. Nowy nabywca jest rólnikiem, który z Ameryki przyciągnął.

Trzemeszno. Posiedziciel Hoffmann z Kozłówka sprzedał swą posiadłość, obejmującą 450 mórg obszaru, posiedzicielowi Liedtkiemu z Góry pod Żninem za 5100 mrk.

Miłosław. Właściciel klucza tutejszego, p. Józef Kościelski, sprowadził z cesarskiego stada w Lippicy dwa ogiery, trzyletniego Bojana i czteroletniego Siglavego, oraz pięć klaczy lippiceńskich, pozostałych w zamku Bertholdstein po Seferze baszy, ś. p. Władysławie Kościelskim. Rumaki te mają stanowić zawiązek przyszłego stada miłosławskiego, które niewątpliwie przyczyni się do podniesienia chowu koni w całej okolicy. Koń lippiceński różni się od arabskiego piękniejszą i silniejszą budową, oraz wzrostem. Kształtna o żywem oku głowa, lekkiem zagięciem nosa zdradza na pierwszy rzut oka przymieszkę krwi hiszpańskiej. Krzyż szeroki proporcyonalnie długi, kłęb zwięzły, muszkularny i zaokrąglony. Grzywa bujna i delikatna, włos miękki, jedwabisty; maść siwa lub gniada. Odnóża są silnie zbudowane, krótkie, o wyrazistych muszkułach, o pięknem, foremnem kopycie. Koń lippiceński z siódmym dopiero rokiem zupełnie jest rozwiniętym, a do jego zalet należy jeszcze wielki spokój i łagodność, nawet i u ogierów, oraz nadzwyczajna pojętność do nauki.

Z powiatu toruńskiego donoszą — do »Gazety Tor.« — co następuje:

Komisya kolonizacyjna usilnie bardzo stara się o zakupno dwóch majątków w powiecie naszym; jest to Słomowo — przezwane Rüdigsheim — i Dębiny, przezwane Eichenau; właścicielem pierwszego majątku jest p. Rüdigsch, drugiego zaś pani Boldt — oboje narodowości niemieckiej. Kolonizacya ma dla tego głównie przyjść do skutku, żeby umożliwić ustanowienie parafii luterskiej bądź to w Biskupicach, Lubiance lub Słomowie, — która bez obsadzenia Słomowa i Dębin luterskimi kolonistami zupełnie nie mogłaby dla braku parafian istnieć i nie miałaby racyi bytu, a tę *racyę stworzyć trzeba.* Kolonizacya i ewangelizacya — to rzecz ta sama.

Z powiatu świeckiego. Posiadłość Grzybek, obsz. 200 mórg urodzajnej gleby, jest do nabycia na subhaście w skutek nieszczęść, które dotknęły właściciela Polaka. Kto z rodaków może, niech kupi, aby piękna ta posiadłość nie przeszła w niemieckie ręce. (Gaz. Tor.)

Starogard. Na tutejszy targ remontów sprowadzono z powiatów starogardzkiego, tczewskiego i kościerskiego 37 koni. Z tych zakupiono 8, a płacono po 500—1000 marek za sztukę. — Folwark Jabłowo w powiecie starogardzkim kupił za 105,000 m. jakiś pan J. Schmidt z Wartza.

Z Prus Zachodnich. Państwo Stanisławowstwo Gajewscy przeprowadzają się na św. Michał po sprzedaży Mgowa p. Apolinaremu Działowskiemu, do drugiego majątku swego, Wałycza p. Wąbrzeźnem. — W moc dobrowolnego układu zda p. Leon Rybiński, senior obywatelstwa zachodnio pruskiego, śliczny majątek swój, Dębiniec pod Rodzynem, siostrzeńcowi swemu, p. Eustachemu Działowskiemu.

Polsko-amerykańska spółka handlowa. Staraniem p. Romanowskiego zawiązuje się we Filadelfii spółka, która zajmie się hurtownym handlem. Spółka ta zamierza wejść w stosunki handlowe z ziemiami polskiemi i sprowadzać bezpośrednio krajowe wyroby.

Kronika żałobna.

† **W Marysinie** pod Piaskami, w klasztorze Braci Miłosiernych, umarł dn. 23 bm. po długich i ciężkich cierpieniach śp. ks. **Nikodem Sieg,** były proboszcz orchowski, kapłan wielkiej zacności, miłosierny dla ubogich, wielce zasłużony około społeczeństwa naszego a znany szeroko także jako mówca wiecowy. Bóg nie skąpił mu za życia goryczy, a największą chyba było przejście Orchowa w ręce komisyi kolonizacyjnej. Cześć pamięci zacnego kapłana! N. o. w p.

† **Ś. p. Marya Ilnicka,** zasłużona literatka, poetka, długoletnia redaktorka »Bluszczu«, zakończyła pożyteczny i piękny swój żywot w Warszawie.

Urodzona w r. 1827 w Warszawie, okazywała już od wczesnej młodości niezwykły dar poezyi. Na szerszą widownią literacką wystąpiła w r. 1853cim, po wyjściu za mąż za śp. Tomasza Ilnickiego.

Prócz wielu pięknych poezyi lirycznych, obrazków dramatycznych, itd. znany jest przedewszystkiem Ilnickiej »Skarbczyk historyi polskiej«, zawierający wierszowy opis dzieji narodu.

Prace Ilnickiej tchną gorącym patryotyzmem, odznaczają się czystością mowy, podniosłym nastrojem. — Cześć pamięci poetki-patryotki.

† **Ś. p. Eulalia Markiewiczówna** umarła w cytadeli w Warszawie w wieku lat 50. Pogrzeb jej odbył się w asystencyi żandarmow i policyantów. Od dwóch miesięcy prowadzono ciągle śledztwo bez względu na stan zdrowia Markiewiczówny, który wymagał łagodnego obchodzenia się i odpoczynku. Pozbawiona wszelkich warunków zdrowotnych, męczona ciągłemi badaniami, dopiero w ostatnich chwilach przeniesiona została do lazaretu, gdzie prawie nagle zmarła. Imię jej powinno być zapisane w poczet męczenników sprawy polskiej

Fakt powyżej podany jest tembardziej oburzającym, iż wina zmarłej, udowodnioną nie została, kara więc polityczna nabiera tu znaczenia pospolitego morderstwa.

Ruch w Towarzystwach.

Janówiec. Ks. Prob. Sergott założył tu Towarzystwo katolickich robotników. Szczęść Boże!

W Lipsku zawiązało się staraniem pana Bolesława Chrzanowskiego Towarzystwo śpiewackie, które uzyskało już potwierdzenie władzy policyjnej.

Chleb dla swoich.

Z Trzemeszna piszą nam pod dniem 26 sierpnia: Przed kilku dniami ulotnił się tu ztąd golarz Niemiec, mający bardzo dobrą praktykę. Ponieważ jest pogłoska, że ma się tutaj Niemiec **golarz** osieść, życzeniem by było, żeby się **Polak** osiadł, lecz porządny, nie pijak. Jest tu już 2 Polaków golarzy, lecz poprzednik miał najlepszą klientelę dotychczas i Polak, który by się tu osiadł może liczyć na pewne utrzymanie i może interes, u pana Jachockiego objąć i o prawdzie się przekonać«.

Rogowo. W mieście naszem jest pożądany **skład piwa i wody selter.;** sądzę, że jeden skład miałby tu pewną egzystencyą. Okolica jest dobra i gościńców dużo, a piwa sprowadzane z Gniezna o trzy, a może i więcej mil. Dowózka z Gniezna jest tak utrudniona, że czasami po dwa i trzy dni muszą gościnni bez piwa się obywać, aż z Gniezna przyślą.

Obrona prawna.

Co jest „towarem"? Senat wakacyjny „kamergerychtu" zajmował się interesującą szerokie koła przemysłowe kwestyą, czy próbki wyrobów, jak np. fotografie, druki, karty wizytowe itp. należy uważać za „towar", którego nie wolno wystawiać w oknach podczas święcenia niedzieli. Senat przyszedł do przekonania, że takie próby wystawiane tylko na okaz, a nie przeznaczone na sprzedaż, należy uważać także za towar i nie wolno wystawiać ich w oknach w tym czasie, kiedy składy odnośne mają być pozamykane. Wynika ztąd, że należy w niedziele pozakrywać także wystawione w oknach fotografie itp.

Rady i wskazówki.

Krochmal z kasztanów, które się walają jesienią po ziemi, można bardzo łatwo zrobić w domu. Świeże kasztany obrać z łupiny, pokrajać na kawałki, potłuc na miazgę. Masę tę rozrabia się wodą, wyciska przez worek z nowego, rzadkiego płótna. To się powtarza kilka razy, dopóki wszystek krochmal się nie wyciśnie. Rano gdy się płyn ustoi, wodę zlać ostrożnie, a krochmal jak śnieg biały zostanie. Rozłożyć go na deskach przykrytych płótnem i suszyć w pokoju lub w słońcu. Po kilku dniach przesiać i schować w suchym miejscu.

Odkrycia i wynalazki.

Zapałki z papieru — oto najnowszy wynalazek dokonany w Austryi. Nowe zapałki zastąpić mają zupełnie angielskie i włoskie zapałki woskowe. Pewna firma wiedeńska nabyła nowy ten wynalazek i zaczęła wyrabiać owe zapałki, które w tych dniach ukazały się w handlu i doznały nader sympatycznego przyjęcia. Nowe zapałki wyróżniają się tem od dotychczasowych znanych, że palą się blisko trzy minuty. Pader vestas — tak je nazwano — przewyższają wszystko, co dotychczas w tej dziedzinie osiągnięto.

Alkohol w mleku. Nie lada pociechę sprawi lubownikom alkoholu wiadomość, że Béchamp w każdem mleku wykrył ślady alkoholu. W świeżym udoju od krowy na wywarze, dochodziła ilość alkoholu nawet do 0,96 proc.

Apteczka domowa.

Prosty środek przeciw biegunce. Sporządzić herbatę z liści pięciornika *(Potentilla)* i dać ją pić choremu. Środek ten działa skuteczniej aniżeli inne lekarstwo.

Przeciwko zatruciu krwi jest najlepszym środkiem maślanka albo kwaśne mleko. Nieraz się zdarzy, że się ktoś przypadkiem ukłuje piórem, umaczanem w atramencie, albo się zrani siarką, która odpadła od zapalonej zapałki, wskutek czego następuje w niejednym przypadku zatrucie krwi. Uszkodzona część ciała puchnie zaraz i sprawia ból. W takim razie nic nie skutkuje lepiej, jak moczenie uszkodzonego członka w kwaśnem mleku lub maślance. Gdy mleko się rozgrzeje, trzeba innego mleka znowu nalać. Wkrótce uczuwa się ulgę, w przeciągu zaś 1 do 2 godzin wszelkie niebezpieczeństwo jest usunięte.

Informacye, dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Konkursy.

Ogłoszono konkurs nad majątkiem kupca, p. Edmunda Kiefera w Pile. Zawiadowcą masy konkursowej zamianowono restauratora, p. Gustawa Dreiera z Bydgoszczy.

Licytacye

Licytacya drzewa z nadleśniczostwa obornickiego (patrz nr. 94 »Pracy«) odbędzie się dn. 13 września o godz. 2 w oberzy p. Festa w Obornikach. Pierwotny termin, wyznaczony na dzień 6 września, zniesiono.

Submisye.

Dyrekcya prowincyonalnego zakładu obłąkanych w Dziekance rozpisała submisyą na dostawę różnych artykułów spożywczych, materyi na ubiory i bieliznę, skóry na obuwie, mydła, towarów kolonialnych i t. p. na czas od 1 listopada r. b. do 31 października 1898 r. Oferty opieczętowane z próbami nadsyłać należy do dn. 14 września do biura wzmiankowanej dyrekcyi, która na żądanie nadeśle odpis warunków submisyjnych za przesłaniem 1 mk. na koszta biurowe.

Magistrat miasta Inowrocławia rozpisał submisyą na dostawę 80 metrów kubicznych drzewa opałowego. Zgłoszenia przyjmuje do dnia 16 września.

Subhasty.

Nieruchomość położona w Komanderyi pod nr. 22 pod Poznaniem, w powiecie poznańskim wschodnim, należąca do pani Marty Igel w cegielni Święto-Jańskiej pod Poznaniem do 2go października w sądzie okręgowym w Poznaniu. — Nieruchomość położona w Poznaniu przy ulicy Zielonej pod nr. 19, należąca do spadkobierców po handlarzu drzewa, Szymonie Kantorowiczu dn. 20 października w sądzie okręgowym w Poznaniu.

Zniesienie subhast.

Subhastę nieruchomości włościanina, pana Bronisława Koszewskiego, położoną w Kiełczewie pod nr. 372 zniósł sąd okręgowy w Kościanie.

Sprawozdania handlowe.

Zboże i mąka. Zbiory, zbliżające się na Zachodzie już ku końcowi, nie zapowiadają jednak żadnej zmiany w przewidywanym rezultacie takowych: Francya a zwłaszcza północne jej departamenty, będą musiały znacznie zwiększyć import ziarna obcego, a Austro-Węgry wykluczone zostaną w roku bieżącym zupełnie z listy krajów eksportujących. Tegoroczna kampania europejska, wedle obliczeń fachowych pism, wymagać będzie 44 mil. kw. przywozu zboża, co kraje pozaeuropejskie zaledwie z trudnością pokryć będą w stanie, pomimo dobrze zapowiadających się urodzaji: zbiory w Ameryce północnej oszacowane są na 550 mil. buszli, obok 16 mil. buszli, w postaci zapasów skontrolowanych; chłody, na stałe w Argentynie, przeszkodziły szerzeniu się szarańczy, a deszcze, spadłe w Indyach, poprawiły zasiewy. Do krajów, w których urodzaj tegoroczny zawiódł oczekiwania, dołączyć obecnie należy Włochy, gdzie zbiory świeżo zakończone wykazały, w porównaniu z rokiem ubiegłym, deficyt 29 procent. Wynagradza to po części jakość ziarna, które oprócz kukurydzy, jest lepiej sformowane. Poza tem usposobienie rynku międzynarodowego jest mocne, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, co w związku z podniesieniem się cen zachęciło właścicieli zapasów zbożowych do większego ożywienia w zawieraniu tranzakcyi, od których się dotąd powstrzymywano.

Rynki krajowe, pozostające pod wpływem konjunktur rynku międzynarodowego, wykazują usposobienie mocne.

Humorystyka.

Wypadki.

— **Złamanie.** Pan X. uległ złamaniu — wiary małżeńskiej. Kompresy na twarz, przykładane rączką jego żony, zagoiły ranę.

— **Kradzież.** W dniu wczorajszym, podczas wieczornego zmroku został skradziony pannie Józi — całus. Podejrzanym jest — kuzynek Antoś. Wspaniałomyślny złodziej raczy go zwrócić, za nagrodą — serca i ręki poszkodowanej.

— **Ostrożnie z ogniem.** Fipcio, sekretarz radzcy Jeleniewicza, w nieobecności pryncypała, „palił“ kadzidła jego żonie. Ta ostatnia „zajęła się“ Fipciem, lecz przyszedł pryncypał i kijem „ugasił“ pragnienie Fipcia.

— **Omal nieutopienie.** Syn obywatela wiejskiego Henryś Z..... kąpiąc się nieostrożnie... w „przyjemnościach“ począł tonąć — w długach żydowskich. Wyratował go własny ojciec, ciągnąc za uszy.

FEMINISTKA.

Choć nie umieją mnie ocenić,
Wśród ładnej orzę niwy:
Pracuję nad tem, by odmienić
Stan kobiet nieszczęśliwy.

Mężczyzna dzisiaj rządzi nami,
A to niesłuszna sprawa;
Chcę, byśmy miały z mężczyznami
Zupełnie równe prawa.

Chcę wiedzy, byśmy mogły zatem
Na każdym być urzędzie:
Niechaj kobieta adwokatem
I sędzią nawet będzie.

Niech się wśród nas Newtoni rodzą
I Kolumbi w spódnicy,
Niech z grona niewiast też wychodzą
I wielcy Kopernicy.

Swobody chcę — każdy mi przyzna,
Że nie jest to rzecz zdrożna:
Gdy może zdradzać nas mężczyzna,
Niech i nam będzie można.

Po co nam szyć, prażyć obiady,
Mieć głupich zajęć wiele!
Niech on z tem sobie daje rady,
My mamy wyższe cele.

Przed nami pracy jest niemało,
Nim słońce nam zaświeci,
Więc żeby nic nie przeszkadzało,
Zrzekamy się dziś dzieci.

Dość długo byłyśmy matkami,
Już losy sił nam skąpią
I odtąd już mężczyzni sami
Niechaj nas w tem zastąpią.

?

— Nie bój się malcze, pies nie taki zły, widzisz, że rusza ogonem.
— Ja go też nie z tej strony się boję.

Złapała go!

— Mój drogi mężusiu, potrzeba mi nowej parasolki: daj 10 marek.
— Niestety, dałbym ci z chęcią, chciałbym dać, ale jak głosi przysłowie: „Nie zawsze ten może, co chce“.
— Taaak?... ach, jakiś ty mądry! Teraz to tak gęgasz, a przedtem, prosząc o mą rękę, mówiłeś: chyba ty nie zechcesz odmówić, Zosiu, bo wierzaj mi, że jak głosi przysłowie: „Dla chcącego — niema nic trudnego!“

TEŚCIOWA z.... CHWALISZEWA.

Za straganem, gdzie z gruszkami
Miesza się groch i kapusta,
Przy przetargu z klijentami
Ciągle ćwiczy swoje usta.

Gdy powróci zaś z zajęcia,
To jak wartki Warty potok
Na biednego wali zięcia
Ciągle jakiś nowy kłopot.

Gdy zięć tylko głową kiwa,
Podziwiając tę figurkę,
Wrzeszczy: „o ja nieszczęśliwa,
Po cóżem ci dała córkę!“

Na przyjemnem takiem życiu
Biedny zięć swe dni przepędza,
Czasem kończy się na biciu,
Bo ma siłę „Miejska jędza!“

Fin de siècle'owa przyszłość.

— Ciekawym dla czego córki twojej nie chciałeś wydać za Iksa?
— Ależ, mój drogi, to pyszałek i chwaliburca, jakiego świat nie widział, a przytem młokos bez żadnego stanowiska.
— A ja ci mówię, że on ma wielką przyszłość przed sobą.
— Chciałbym wiedzieć jaką?
— Taki *jeszcze* młody, a *już* znakomicie gra *w karty!*

MYŚLI.

— Cobyś pan zrobił, gdybym pana nazwał osłem?
— Dałbym policzek!
— A gdybym tylko pomyślał?
— Ha, wtedy trudno. Nicbym nie zrobił, niepodobna bowiem odgadnąć cudzej myśli....
— Aha, tak? Więc myślę!...

Punkt wyjścia.

— Pani, kocham cię i proszę o twoją rękę.
— Bardzo mi przyjemnie, ale nie mogę wyjść za mąż, dopóki starsza moja siostra nie wyjdzie.
— A więc niema wyjścia z tego położenia?
— Owszem, jest: ożeń się pan z moją starszą siostrą...

Ze świata dziecięcego.

Tatuś, pragnąc, aby malec był przez jakiś czas spokojny, bierze go do swego pokoju na konferencyą.
— Józiu, będziesz teraz siedział cicho w pokoju tatusia.
— Aha...
— Dziś wieczorem bocian przyniesie ci braciszka.
— Aha...
— A jak będziesz grzeczny, dostaniesz także konia z czekolady.
— Proszę tatusia — rzecze Józio po namyśle — jabym wolał, żeby i ten braciszek, którego bocian przyniesie, był także z czekolady...

Żydowski kujawiak.

— Salcze, moje Salcze,
Nie słuchaj hrabiego,
Bo szkaradny goim
Zrobi ci co złego....
Aj, waj!

Gdy un wigaduje
O kochaniu czebie —
Ty powiedz co miłoszcz
W sercu ci nie grzebie...
Aj, waj!

Chyba co pokaże
Tobie pieniądz duży —
Wtedy tak leczutko
Daj mu czepłe buży...
Aj, waj!

A gdy prosić będzie
Ty mu przyznaj racye,
Ale zrób na miłoszcz
Ciche łycytacye...
Aj, waj!

Najsłowniejszy człowiek.

— Nie znam człowieka bardziej solidnego w dotrzymaniu przyrzeczeń, jak mój teść.
— Na seryo?
— O tak! Jak mi powiedział przed ślubem, że nie da nic za córką, tak przez dziesięć lat jak najakuratniej dotrzymuje słowa.

Niepożądana obietnica.

Teść (do młodej pary): „Kochajcie się dzieci, a opatrzność nad wami czuwać będzie...“
Teściowa (przerywając): „I ja także... i ja także!...“

Przy grze w karty.

I Gracz (z gniewem). — Pan powinieneś grać w guziki — a nie w winta!
II Gracz. — A pan powinieneś krowy paść!
III Gracz. — Ależ panowie, kończmy partyę; a potem każdy pójdzie do swoich zajęć!...

Sprzedaże.

Czysto okazyjne i nader korzytne kupno **od nierodaka** pięknej

Wsi

rycerskiej, w jednym z lepszych powiatów Księstwa ca. 4000 mg. incl. **350 mórg, pysznych nawodnianych łąk** i 1300 mg. wysmukłego zdrowego lasu a w tem **ca. 700 mg. 70 do 100 letniego drzewa do ścięcia,** rola do 1/3 pszenna, reszta jęczmienna i dobra żytnia ziemia w dostatecznej kulturze, **z parową gorzelnią podług najnowszego systemu urządzoną 700 beczek kontingentu** wielką cegielnię i t. d., dobre budynki i we wielkim porządku, **śliczny i silny inwentarz,** obfite żniwa dotąd nienaruszone, **pałac okazały o 18 pokojach w pośród obszernego cienistego parku,** gospodarstwo zasobne, majątek iście pański i **tylko landszaftą obciążony,** jeżeli zaraz **przy zał. 100,000 mk.** za 500,000 mk. a więc nieomal **zabezcen** od nierodaka do nabycia, gdyż **sam las zaraz do ścięcia reprezentuje natychmiastową wartość ca. 180 tysięcy marek.**

Komunikacya bardzo dogodna.

Bliższych szczegół udzieli **„bez wszelkich kosztów"**

Centralna Agentura Dóbr,
Drwęski i Langner
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.
— Telefon Nr. 295. —

Sztuciec

w dobrym stanie jest tanio na sprzedaż. Gdzie? Wskaże Eksp. „Pracy".

Kupna.

Szukam kupna dobrego

gościńca

z kilkunastu morgami roli przy wysokiej wpłacie od 1. 4. 1898. Listy pod liter.: **A. D.** poste restante **Trzemeszno.**

Dzierżawy.

W nowym budynku — Jeżyce, Poznańska ul. nr. 33 naprzeciw ogrodu t. zw. „Reichsgarten" są (422)

mieszkania

o 3 i 4 pokojach z kuchnią i przynależytościami od zaraz lub 1 października do wynajęcia.

Bliższych wiadomości dowiedzieć się można na placu ciesielskim tamże.

Szukający miejsc.

Gorzelnik

żonaty, **bezdzietny,** 34 lat liczący, z lepszem wykształceniem szkólnem, wolny od wojskowości, 6 lat w ostatniem stanowisku obeznany dokładnie z najnowszemi aparatami doskonały w swym zawodzie mogący się powołać na referencye osobiste swych pryncypałów poszukuje zaraz innego umieszczenia.

Bliższych szczegółów udzieli **„bez wszelkich kosztów".**

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

RZĄDZCA

żon., **bezdzietny,** w najlepszej sile wieku, z wyższem wykształceniem 8 lat w przedostatniej a 5 lat w obecnej posadzie gospodarstwie renomowanem, prywatnie chlubnie jako znakomity i sprężysty agronom polecony poszukuje od 1. 10 rb. innego stanowiska.

Bliższych szczegółów udzieli **„bez wszelkich kosztów".**

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Ogrodnik

kaw. 32 lat stary, katolik, Polak, władający biegle językiem niemieckim, chlubnie prywatnie polecony, z praktyką długoletnią z pierwszorzędnych ogrodów, obeznany z cieplarnią, ananasarnią itd. blisko 4 lata w ostatniej posadzie w domu magnackim, pragnie przyjąć od 1 października inne stanowisko przy skromnych wymaganiach.

Bliższych szczegółów udzieli **„bez wszelkich kosztów".**

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska 38.

Urzędnik gospod.

22 lat stary, szuka miejsca pod dyspozycyą pryncypała od 1-go października r. b. — Zgłoszenia pod literami: **A. B.** post-lagernd **Strzelewo** (Strelau).

Baczność!

EKONOM, kawaler, młody, energiczny, z dobremi rekomendacyami, z skromnemi wymaganiami, szuka posady. Zgłoszenia A. B. poste restante **Kuschlin.**

Podoficer, służący 5 ty rok przy wojsku, znający języki krajowe, obeznany z rolnictwem, dobry strzelec. szuka miejsca od 1-go października r. b. jako

forczpan, służący lub borowy

w większem gospodarstwie.

Of. pod adr.: Herrn **Georg Zipf,** Friedhofstrasse Nr. 20, III Treppen. Stuttgart Württemberg.

Wolne posady.

BOROWY

żon., w starszym wieku, któryby zarazem podjąć musiał ukopania 900,000 szt. torfu, potrzebny od 1-go stycznia 1898 r. do hrab polsk. majątku w Księstwie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu Rycerska ul. 38.

Siedmiu

PISARZY

kawalerów, biegłych w piórze, obeznanych z książkowością potrzeba od 1 października lub zaraz na pensyą 300—350 mk.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Gorzelnik

żon. z skromnemi pretensyami potrzebny od zaraz do średniej gorzelni w Księstwie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Kilku

ekonomów

kaw., potrzebni od zaraz i 1. 10 r. b. na pensyą 400—600 marek i wolne utrzymanie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Borowy

żon., w wieku 30 do 40 lat, z dobr. świadectw. potrzebny od 1-go stycznia 1898 do dozorowania małego lasu oraz pola na znaczną pensyą i deputat.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu. Rycerska ul. 38.

Pisarza gosp.

biegłego w książkowości szuka zaraz

majątek Kołybki
p. Łekno.

Elewa gorzelnicz.

przyjmie
Zarząd gorzelni w Dakowach Mokrych
per Opalenica.

Od 1. 9. 97. potrzebny jest

organista

egzaminowany przez X. Surzyńskiego, któryby poza zajęciem w kościele mógł być użyty do dozoru ludzi przy pracy i któryby prowadził książki zbożowe i najmu. Koszta podróży nie zwracają się.

X. Wiśniewski, proboszcz w Czaczu.

Szukam młodego, samodzielnego

pomocnika cukiern.

od połowy września r. b.

Z. Stępowski,
cukiernia „Tivoli", Inowrocław, ulica kolejowa.

Dom. Otoczna p. Września
poszukuje od 1. 9. 1897

pisarza podw.

w średnim wieku, samotnego, dobre świadectwa i rekomendacye będą tylko uwzględnione, pensya 400 marek wolne utrzymanie.

Gospodyni

potrzebna na osobny folwark od 1. 10. r. b. Kopie świadectw z podaniem wieku pod lit. **K. K.** poste restante **Kościan** przesł.

Robotnicy

obeznani z pracami w cegielniach i chcący sobie zapewnić zatrudnienie na porę zimową, powinni się natychmiast do roboty zgłosić do

Parowej cegielni i tartaku w Strzelnie. (423)

Poszukuje się technika mierniczego (425)

rysownika

któryby latem był pomocnikiem w robotach polowych.

Zgłoszenia pod literą Z. Z. w Administracyi „Pracy".

Adwokat i notaryusz w WKs. Poznańskiem poszukuje od 1 października lub 1 listopadada

przewodniczącego biura,

zaufanego, po polsku mówiącego i obeznanego w pracach biurowych dotyczących obliczania kosztów i stempli.

Zgłoszenia wraz z podaniem pensyi i odpisem świadectw sub. M. P. Leszno (Lissa i. P.) poste restante do 14 września r. b.

Młody pomocnik

może się natychmiast zgłosić do **N. Cieślińskiego,** balwierza i fryzyera w Mogilnie.

Biegły

buchalter i korespondent

władający polskim i niemieckim językiem, może się natychmiast zgłosić z dołączeniem świadectw oraz podaniem pensyi pod literą **J. W.** nr. **1753** do Eksped. **„Pracy".** (424)

2 uczni

przyjmie (410)

Strzelecki
zegarmistrz w Mogilnie,
(drugi skład w Inowrocławiu).

Do mego handlu kolonialnego, żelaznego i destylacyi poszukuję od zaraz

ucznia

z dobrem szkólnem wykształceniem i władającego obu językami krajowemi. (420)

F. Byczek,
Łobżenica (Lobsens)

Do handlu mego towarów kolonialnych, drobnych żelaznych i żelaza sztabowego szukam od 1. 10. r. b.

ucznia;

język polski i niemiecki za warunek

Alfred Strecker w Smigiu.

Do mej drogeryi i handlu tow. kolonialnych szukam

2 uczni

z odpowiedniem wykształceniem.

Maryan Stanikowski
w Trzemesznie.

Samotna

kobieta

silna i zdrowa — potrzebna do uprzątania domu. Gdzie? wskaże Ekspedycya „Pracy".

A. Pfitzner

w Poznaniu
Stary Rynek Nr. 6
od roku 1849

Cukiernia

poleca Szanownej Publiczności **na porę wiosenną**

napój majowy

na świeżej mażance, butelka 3/4 litra 80 fen.

Limonady, bowle, soki, karmelki owocowe po 1.20 m. funt.

Torty pomarańczowe, ananasowe.

Spodki kruche do ciast owocowych
tuzin 50 fen. 185